

GRIKS

LOS BUNTOWNIKA



KRÓTKI WSTĘPIK

Oto przed wami fragmenty mojej książki pt.: „LOS BUNTOWNIKA”. Jest to próba przedstawienia części mojego życia, czyli swego rodzaju pamiętnik. Pisany jest on językiem, jakim mówię, więc niektóre z zasad języka polskiego mogą tu być olane. Mimo to jestem otwarty na jakąkolwiek krytykę i wytknięcie mi błędów. Jeśli się wciągnąłeś w tą lekturę i chciałbyś przeczytać dalszy ciąg lub wyrazić zdanie na temat tej książki pisz na poniższy adres.

(Jeśli uważasz, że możesz w jakiś sposób pomóc mi w wydaniu tej książki, przepisywaniu jej z zeszytu na komputer, tłumaczeniu na inne języki lub w jakikolwiek inny sposób daj znać).

Griks

E-mail: mgriks@gmail.com – adres najbardziej aktualny

Honthorsstraat 42 hs

1071 DH Amsterdam

Holland

WSTĘP FILOZOFICZNY

Wstęp ten powstał po to, by wyjaśnić, jakie przyczyny mną kierowały by napisać tą książkę. Uważam, że to bardzo ważne wiedzieć, co właściwie ludzi pcha do działania.

Pierwszymi przyczynami w zasadzie prawie wszystkiego, co staram się robić w życiu, a więc także napisania tej książki jest chęć czynienia Dobra, pragnienie zmieniania świata na lepsze, a także wola niesienia Dobrej nowiny, czy jak to tam zwał. Myślę, że wiecie, o co mi chodzi.

Bo jeśli chodzi o mój punk(t) widzenia to prawdziwe szczęście mamy dzięki czynieniu Dobra. Znam to z doświadczenia, które postaram się przekazać również w tej książce. Najlepiej, gdy Dobro jest czyste, nieskażone, nie oczekujące na cokolwiek w zamian. Do tego ostatniego doszedłem dopiero ostatnio, a raczej wciąż jeszcze się tego uczę. Dla początkującego pisarza ciężko jest zrezygnować z zapłaty, szczególnie, jeśli chce by pisanie stało się jego pracą.

Ciekawe jednak, że coś prowadzi mnie w ten sposób, że pierwsze wydanie fragmentów mej książki będzie drukowane za darmo. Uważam za duży sukces, że na początku, by wyczyścić, choć trochę me Dobro z oczekiwań na coś w zamian, zrezygnowałem z budowania mojego Ego. W tym celu zamiast długiego imienia i nazwiska na okładce będzie widniało tylko nieużywane artystyczne pseudo, którym także postaram się zamienić moje imię w książce.

Według odwiecznego prawa natury, wszystko, co dajemy w życiu potem do nas wraca. Nic w przyrodzie nie ginie. Za każdym razem, gdy czynimy Dobro dostajemy nagrodę właśnie tu i teraz, a nie tylko w obiecany niebie po śmierci. Może się to przejawiać w satysfakcji z wykonanego dobrego uczynku, dobrego samopoczucia, czy jeśli już bardziej materialnie patrząc, wdzięczności wspomóżonej osoby czy też jej wynagrodzenia. Jednak nie powinniśmy się skupiać na tych dwóch ostatnich, materialnych czy egocentrycznych przyczynach Dobra, ponieważ „zanieczyszczamy” wówczas intencje naszych działań. Lepiej by tym, co pcha nas do działania była Miłość do wszystkiego, całej naszej planety, każdej żywej istoty czy rośliny. Wybaczać nawet naszym wrogom – to właśnie tego uczy nas Jezus: kochać bezinteresownie wszystkich – to chyba istota wierzeń wszystkich dobrych ludzi. Każde nawet nasze najmniejsze Dobre działanie, zmienia nas, a zarazem cały świat na lepsze. I nieprawdą jest to, co niektórzy mówią, „Po co się wysilać i tak świata nie zmienisz”, bo gdyby nie te starania Dobrych ludzi może już dawno by nas tu nie było. „Nie zmienię świata?”. Co za bzdura? Wystarczy tylko spojrzeć na tych, co czynią Dobro. Nawet, gdy są najbardziej materialnie i najbardziej kopani przez życie to i tak są szczęśliwsi niż ci bogaci i żli z całym swoim dostatkiem, a przy tym frustracją i z ciężkim bagażem na sumieniu. Dlatego też, pisze tą książkę, by również przekazać to, czego i w jaki sposób życie mnie nauczyło. Moją receptą na szczęście jest czynić Dobro. Być Dobrym znaczy być szczęśliwym, Żyć szczęśliwym, znaczy żyć Dobrym. I nie przejmujemy się że ideały są nieosiągalne. Ważne, że do nich dążymy. Powtórzę za Budda Gottama „Nie poszukuj drogi do szczęścia, to szczęście jest drogą”. Dlatego nie ważne jest, gdy ktoś mi powie, że anarchia jest utopią. Nawet, jeśli raj na ziemi nie istnieje to i tak warto o niego walczyć.

Jako autor tej książki mam ambicję, by stała się ona punkową rewolucją w literaturze, by pokazać, że każdy może pisać i powinien to robić, jeśli ma cokolwiek ciekawego do przekazania. Niech pisanie odżyje jako głos Dobrej nowiny. Niech stanie się naszą bronią przeciwko złemu światu. Nie każdego stać na komputer czy

kamerę zaś długopis czy coś do pisania to chyba nie problem nawet w krajach trzeciego świata, (choć tam niestety problemem mogą być wciąż umiejętności). Przez tą książkę chce zachęcić wszystkich do wylewania swych myśli na papier i wydawania ich na każdy możliwy sposób. Nie zostawiamy literatury tylko tym, którzy ukończyli po 10 fakultetów polonistyki i językoznawstwa, bo często (mam nadzieję, że nie zawsze) są oni tak już wpasowani w system, że pisanie o dobrych rzeczach już ich mało interesuje. Po za tym ich życie często (mam nadzieję, że nie zawsze) stało się tak nudne, że cóż ciekawego mogą oni napisać? Nic dziwnego, iż prości Dobrzy ludzie przestają sięgać po książki.

Przepraszam za tą moją, może nie do końca miłą nagonkę, ale musiałem jakoś usprawiedliwić swój prosty styl pisania. Tak naprawdę to ja bardzo szanuję studentów, szczególnie tych, którzy oparli się temu długiemu wpasowywaniu ich do systemu i mimo wszystko pozostali sobą.

„Ocalić od zapomnienia”. Wspomnienia są tak ważne w moim życiu, że staram się je utrwalac na każde z możliwych mi sposobów. To właśnie, dlatego często ściany moich skłotów zdobią zdjęcia, plakaty z różnych akcji i imprez. Dlatego też tak bardzo zafascynowało mnie filmowanie wszystkiego, co się dookoła dzieje, dokumentowanie w ten sposób życia mego, mych przyjaciół, Amsterdamu, ruchu skłoterskiego etc. Dlatego też zbieram wszelkie niezależne gazety wydawnictwa ulotki, plakaty itp. (mam cichą nadzieję, że może kiedyś na jakimś ze skłotów będę miał możliwość zorganizowania muzeum skłotingu). Dlatego też pisana jest ta książka. By przelać na papier te wszystkie przeżycia i jeszcze raz dać im odżyć, gdy po raz kolejny będzie ona czytana. Także by uchwycić ten proces wiecznej przemiany w samym sobie. Bo musisz wiedzieć mój czytelniku, że niektóre rzeczy w tej książce napisałbym inaczej, niektórych bym w ogóle nie pisał, a niektórych to może nawet teraz się trochę nawet wstydzę. Jednak publikuję je mimo wszystko, bo przecież człowiek całe życie się uczy i warto utrwalic jakoś ten proces, chociażby, dlatego by uczyć się na błędach, a nie o nich zapominać. Wspomnienia są jedną z niewielu rzeczy, które kolekcjonuję. Są one bardzo ważne w moim życiu. Nie jest to może do końca dobre, ale taki już (jeszcze) jestem. Są dla mnie jedyną rzeczą w życiu, którą warto zbierać, której nikt nam nigdy nie zabierze, która zawsze będzie z nami. Gdy wszystko przeminie, zostaną wspomnienia, które będą stale nam przypominać, że się to życie przeżyło. I choć czasem ciężko było, czasem nawet okrutnie, to potem jest przynajmniej co powspominać i nie zamienilibym tych wspomnień na żadne wygody i skarby tego świata.

Żyj ciekawie + żyj dobrze = żyj szczęśliwie.

Jedyna historia, w jaką wierzę jest ta, którą przeżyłem.

Pisze książkę, bo mnie to cieszy. Raduje mnie to, bo czuje, iż jest to jakiś sposób na zmienienie tego świata na lepsze. Czynienie Dobra jest moim motorem, jest źródłem radości w moim życiu.

Kocham moją córkę, moją kobietę i psa, bo czuję że to jest Dobre. Spełniam się, gdy daję im całego siebie i staram się by Miłość, którą daję była jak najlepsza i jak najczystsza. Staram się dać im szczęście i dzięki temu otrzymuję szczęście. Te trzy kobiety są najważniejsze w moim życiu. Całą resztę staram się robić też dla nich, a przez to także oczywiście dla ludzi, zwierząt, roślin i całego świata. Z miłości, z potrzeby czynienia Dobra leczymy, filmujemy, pomagamy w skłotowaniach, by ludzie mieli gdzie mieszkać, chodzimy na demonstracje, akcje, sadzimy drzewa, staramy się żyć ekologicznie, robimy program w radiu, by o tym wszystkim

opowiedzieć. Cieszy mnie to wszystko, bo czuję, iż jest to Dobre, a że moje życie, chociaż czasem trudne, to i tak uważam, że jest dużo bardziej wartościowe niż tych, co uczestniczą w wyścigu szczurów po pieniądzu.

Czasem niebo wyobrażam sobie jako miejsce gdzie będę miał czas na robienie tych wszystkich rzeczy, na których teraz nie mam czasu. Robię tyle rzeczy na raz, tak jak z tą książką, że ciężko przychodzi mi je skończyć. W głowie mam tyle fajnych projektów, pomysłów, że niestety czasem muszę być wybiórczy i zrezygnować z niektórych. Nie mam często czasu na doskonalenie mych „dzieł” jak np. tej książki. Na szczęście nie jestem perfekcjonistą i jestem dumny z tego, co stworzyłem takim, jakim jest. Na poprawianie błędów tej książki znajdę czas pisząc następną, którą z kolei poprawiał będę w następnej i tak dalej i tak dalej. Tutaj nie mam czasu, bo to nie niebo, a tylko ziemia. Nie mam czasu, bo zawsze staram się mieć czas dla moich najbliższych, później dla ludzi, zwierząt, dla Matki ziemi...

Mógłbym rzec, że nie mam czasu dla siebie, ale to nieprawda, bo przecież, gdy pomagam innym zapracowuję na moje, nasze szczęście.

Nieczym w niebie czuję się w porównaniu do tych snobów, którzy żyją w iluzji, że jak zapłacą za nowy samochód, za piękny dom, „miłość”, wakacje na Kanarach, skok na bandzi czy heroinę, to ich życie stanie się bardziej interesujące czy lepsze. To tylko iluzja, ułudą, bo tak naprawdę szczęścia kupić się nie da. Gdy próbujemy zastąpić je dobrami materialnymi, po chwili sztucznego zachwyty, ekstazy, nadchodzi pustka, którą znowu ślepo staramy się wypełnić. Błędne koło uzależnienia toczy się dalej i po raz kolejny wypełniamy ją krótką ułudą. Poszukujemy coraz to mocniejszych wrażeń pogłębiając się coraz bardziej w bagnie niespełnienia. W ten sposób skupieni na zaspokajaniu swego ego zamiast uzyskania szczęścia pogłębiany jedynie naszą frustrację. Ja za darmo czyniąc Dobro otrzymuję tyle atrakcji i szczęścia, że nie muszę ich „kupować”. Taką drogę wybrałem i jestem na niej szczęśliwy, dlatego też poprzez tą książkę staram się pomóc Wam w (jak mi się wydaje) Dobrym wyborze dla nas wszystkich.

Kolejnym powodem, dla którego piszę jest promowanie kultury, w której po części się wychowałem. Jest ona tak różnorodna, że nie da się jej określić jednym słowem. Niektórzy nazywają ją punkową, niektórzy niezależną sceną, albo ruchem skłoterskim czy anarchistycznym, albo też po prostu wolną społecznością. Jakkolwiek by to zwal jest to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie mnie w życiu spotkały i jestem bardzo szczęśliwy, że mimo odmienności i trudności wszedłem w to i do dziś w tym stoję dobrze się z tym czując. Nie wszystko opiera się tu na pieniądzach czy własności. Są tu wartości większe niż chciwość, zazdrość i chęć posiadania, które to chcą zawładnąć światem (dlatego może coraz bliżej do zagłady). Te wartości to prawdziwa miłość, prawdziwa równość, prawdziwa wolność, (które razem tworzą prawdziwą anarchię), które należy ludziom pokazywać, przekazywać, uczyć i walczyć o nie na wszelkie możliwe sposoby. Ta książka jest właśnie jednym z moich kroków do lepszego świata dla nas, dla naszych dzieci, dla wszystkich.

Ruch skłoterski to społeczność, w którym wybrałem swe życie, z którym się utożsamiam i z którego jestem dumny. Nie jestem polakiem, jestem Skłotersem. Nie jest to raj, ale dla mnie jest to zdecydowanie krok w tym kierunku. Oczywiście jest w tym ruchu wielu „typów spod ciemnej gwiazdy”, którzy skłoty wykorzystują do mieszkania za darmo, jako pogłębienie swojego lenistwa i imprezowania. Są nawet tacy, którzy na uczestnictwie w skłotingu robią pieniądze, władzę, czy inne ciężkie narkotyki. Nie o nich tutaj mówię, bo oni tylko ten ruch spowalniają i przynoszą mu

najczęściej złe imię i wstyd. Chcę pisać, mówić tu o tych marzycielach, którzy to postanowili pokazać wszystkim, że potrafią budować własną anarchię, że w garstce podobnie myślących ludzi znaleźli rodzinę, która sobie bardziej ceni walkę o lepszy świat, robienie dobrych rzeczy, życie razem niż udział w wyścigu gromadzenia. To właśnie o tych skłotersach chcę pisać, którzy porzucili wygody normalnego życia by dać innym przykład, iż można żyć inaczej i że to właśnie czynienie Dobra czyni nas naprawdę szczęśliwymi. Ta książka ma również za cel szerzenie tego przykładu innym.

Dopóki wciąż istnieje nadzieja na uratowanie świata, póki dobrzy ludzie jeszcze żyją, dopóki nie wszystko jest opanowane przez pieniądź, dopóki istnieją wolne społeczności, dopóty trzeba o to wszystko walczyć. Jeszcze świat nie zginął póki my żyjemy. Może wreszcie ludzie się opamiętają i przejrzą na oczy. Mam nadzieję, iż ta książka im, Wam w tym pomoże.

Czy wiesz, że za każdym razem, gdy kupujesz coś, czego tak naprawdę wcale nie potrzebujesz, sprzedajesz samego siebie?!!

POCZĄTEK KAPELI ZBUNTOWANI

Początek kapeli był związany z początkiem punkowej knajpy „Black Flag”. Wraz z załogą młodych punków, gdy tylko dowiedzieliśmy się o tym, że w Siedlcach ma powstać punkowy bar, szybko zaoferowaliśmy jego założycielom Helmutowi i Pipetowi naszą bezinteresowną pomoc. Gdy ja, Marucha i Franek przyszliliśmy tam po raz pierwszy, byliśmy pod dużym wrażeniem. Jeszcze niedokończone graffiti Helmuta zachwyciło nas niezmiernie. Gdzieniedzie były to głowy i czachy z irokezami, gdzieniedzie krajobrazy zagłady niczym z okładek GBH czy Exploited. Chodź dużo widziałem w swym życiu zajebistego graffiti w Berlinie, w Pradze, czy nawet w Warszawie, to to, co tworzył Helmut przewyższało je wszystkie. Dla mnie jest on zdecydowanie mistrzem w tym, co robi. Byłem dumny, że moje szablony mogły być odbite koło tych arcydzieł.

Na tydzień przed otwarciem knajpy, chyba trochę z nudów i nadmiaru wolnego czasu zimowych ferii, wpadł mi do głowy pomysł założenia kapeli. Poprosiłem moją dziewczynę Jankę by śpiewała w niej, na co wówczas chętnie przystała.

Pierwszy tekst napisałem o „Gandzi”. Dużo paliliśmy w tamte czasy i miałem potrzebę napisać, co o tym myślę, jak to czuję i jak to traktuję. Była to też pewnego rodzaju kontynuacja artykułu „Ja i Maria”, który zamieściłem w którejś z makulatureczek. Z resztą tekst „Gandzia” też w ostateczności znalazł się w tym biuletynie. Do wymyślonych wierszy bardzo fajnie dopasowała się wesoła muzyczka, którą skomponowałem już jakiś czas temu.

Wraz z Janką przez dwa dni ćwiczyliśmy nowo powstałą piosenkę, aż jako tako zaczęło nam to wychodzić. Z trudem udało mi się namówić Jankę, byśmy zagraли próbę w klubie „młodych punków”, na Staromiejskiej. Gdy nas wysłuchali posypały się brawa.

- Zajebiste! – stwierdził Franek.
- No, zagrajcie jeszcze raz – prosił Marucha.
- To wasza piosenka? – zapytał Słoniak.
- No pewnie, że nasza – potwierdziliśmy.
- Fajne. Moglibyście to zagrać na otwarcie „Black Flaga” – rzucił pomysł Słoń.
- No, co Ty?! – zaoponowała Janka.

- A ja myślę, że to dobry pomysł - podchwyciłem temat.

Tak szczerze to było to moje ciche marzenie od momentu założenia zespołu. Właściwie, to można nawet powiedzieć, że otwarcie „Black Flaga” oraz chęć zagrania na nim, było chyba dużym bodźcem do założenia zespołu na tydzień przed imprezą.

- No, zagrajcie! Przecież dobrze Wam idzie - przekonywał Marucha.

- Ale przecież mamy dopiero tylko jeden kawałek - Janka dalej się nie zgadzała.

- Ha! Ale za to, jaki fajny - powiedział Gawel.

- No, co ty, tak bez perkusji i basu? - trwała dalej w swym przekonaniu ma ukochana.

- Ja słyszałem ostatnio gościa, który tylko śpiewał i całkiem dobrze mu to wychodziło - podał dobry przykład Słoniak.

- Nie tak prędko. Ja się jeszcze trochę wstydzę - w końcu Janka wyjawiała, o co naprawdę jej chodzi.

- E tam, przed nami też się wstydziłaś i wyszło bardzo ładnie, to i w „Black Flagu” będzie dobrze - stwierdził Marucha.

- Wypijesz parę piwek, to od razu Ci trema przejdzie - trafnie zauważył Franek.

- Zobaczmy - zakończyła o tym rozmowę Janka.

Nigdy nie czekałem tak na koniec ferii jak tego roku. Wcale nie dlatego, bym lubił szkołę, bo dla mnie, to ona by się mogła nigdy nie zaczynać, ale to właśnie 30 lutego w ostatni dzień ferii miała się odbyć upragniona impreza. To był wielki dzień w historii siedleckiego punka. Chyba po raz pierwszy mieliśmy własne miejsce i to prawie całkiem niezależne. Co z tego, że bar musiał zarabiać na siebie i piwo kosztowało 3,5zł i nie każdego było stać na to by się najebać. W końcu nie o najebanie chodzi w punk rocku.

Mimo tego, że plakatów było jak na lekarstwo, ludzi przyszło całe mnóstwo. Ciężko było się przecisnąć do baru. Nic dziwnego, jeśli grały czołowe zespoły siedleckiej sceny: OUT SIDE - najpopularniejszy z tutejszych zespołów rockowych, SPOKOJNIE - najpopularniejszy, bo jedyny zespół reggeowy i też jedyny zespół grający crust punka ZNIEWOLENIE. Wszystkie zespoły zagrały zajebyście. Zabawa też była jak nigdy przedtem, czyli bardzo fajna. Wszyscy się chyba bardzo cieszyli, że w końcu coś ruszyło w naszym mieście.

Wszyscy Ci, którzy pomagali w jakiś sposób pomagaliśmy przy zrobieniu tej knajpy, dostaliśmy słowny, nieograniczony kredyt na piwo. Korzystaliśmy, więc jak tylko mogliśmy. Stało się tak jak Franek przewidział. Po paru piwach Jankę opuściła trema.

Gdy wszystkie zespoły zagrały już swoje bisy i wszyscy myśleli, iż impreza dobiegła już końca, My wyszliśmy na scenę. Mały pożyczył mi elektryczną gitarę, a ja zacząłem gadać:

- Koncert się jeszcze nie skończył, bo czeka na Was jeszcze niespodzianka, czyli nasz scenkowy debiut. ZBUNTOWANI to na razie tylko ja i Janka. Zagramy dla Was jeden kawałek - no i zaczęliśmy.

Mały wybrał dobrze pasujący efekt i jak dla mnie wyszło zajebyście. Jak na pierwszy raz całkiem nieźle. Parę osób się nawet bawiło i dostaliśmy całkiem niemałe brawa. Dostaliśmy też kilka podbudowujących pochwał jak np. ta od Ryśka:

- Zajebisty tekst i fajne wykonanie!

Jadzia dostała nawet propozycję śpiewania w MANTEI - jednej z siedleckich rockowych kapel. Gdy o tym usłyszałem zapytałem się:

- I, co im powiedziałaś?

- Odmówiłam.
- Jak to? Czemu? - zapytałam trochę zdziwiony.
- Bo Manteja gra ciulową muzykę, a ja już śpiewam w jednej kapeli - odpowiedziała i chyba miała rację.
- Szczęściarż ze mnie - wyraziłem to, co czuję.

Tak o to, powstała nasza kapela wraz z knajpą, która też była kawałkiem naszego życia. Kto wie jak bardzo znaczącym? To był wielki dzień.

PAPRYKA RATUJE MI ŻYCIE

...i oto kolejny dzień w RZECZYWISTOŚCI. Obudziło mnie jak zwykle zimno. Jednak tego dnia nie wtuliłem głowy jak zwykle głęboko w śpiwór, nie nakryłem jej koldrami i kocami i nie próbowałem zasnąć ogrzewany własnym oddechem, który mógłby okazać się śmiertelnym, gdyby szpara wśród koców i kołder zatkała się, a ja spałbym twardym snem. Dziś miałem sprawdzić kolejną ofertę pracy. Zdobyłem ją z Wyborczej z ogłoszenia o treści, „Jeśli lubisz pracę z dziećmi to zadzwoń...”. Dzień wcześniej w poniedziałek zadzwoniłem i umówiłem się na spotkanie o 9-tej. Dlatego też wcześniej wstałem by umyć się i ubrać się w czyste ubranie trzymane specjalnie na tego typu okazje i przygotować się. Do sklepu „Kindi Land” dotarłem punkt dziewiąty. Był to dwupiętrowy „supermarket” z samymi zabawkami, pewnie bardzo drogimi. Sprzedawcy byli poprzebierani za ołowiane żołnierzyki. Zapytałem się jednego z nich, z kim mam rozmawiać w sprawie pracy. „Żołnierzyk” skierował mnie na górne piętro, gdzie zapytałem się pani za ladą, czy to z nią mam rozmawiać w sprawie pracy. Odpowiedziała mi „tak, ale niestety to już jest nieaktualne”, „Ale ja byłem umówiony na dziś”. „Przykro mi, lecz znaleźliśmy już kandydatów” - otrzymałem odpowiedź, po której wyszedłem i zrobiło mi się przykro. Z goryczą myślałem „kurcze, już czwarty raz się nie udaje. Miałem taką nadzieję na otrzymanie tej pracy. Myślę, że by mi odpowiadała...”. W drodze powrotnej kupiłem mleko, płatki dla psa, a dla siebie chleb, a do niego keczup, bo był tańszy niż dżem. Pieniądze powoli mi się kończyły, więc musiałem oszczędzać, bo następny zakup grzybów może się trafić nie wiadomo, kiedy. Zrobiłem psu jeść, sobie też. Gdy jadłem ten pierwszy posiłek tego dnia, cieszyłem się, że będąc głodnym bardzo smakował mi ten chleb z keczupem. Jednak, gdy już się najadłem pomyślałem, że przydałoby się nabić dzisiaj butlę to wtedy mógłbym robić sobie ciepłe posiłki i herbatę. Nie wiedziałem gdzie by ją nabić, lecz to nie zraziło mnie by ruszyć w poszukiwania i podnieść swą stopę życiową. Nabijanie znalazłem dopiero aż na Ursynowie (kawał drogi). Zajęło mi to czas do wieczora, ale gdy zrobiłem sobie pierwszą herbatę, stwierdziłem, że warto było. Od razu humor mi się poprawił. O porannej porażce myślałem „Może i szkoda, że się nie załapałem, ale pewnie bym się wkurzał obsługując rozpieszczone przez niańki dzieciaki bogatych rodziców, które czas z rodzicami spędzają tylko podczas obiadów w McDonalddie”. Tak się pocieszałem mając nadzieję „Przecież w końcu musi się trafić jakaś porządna robota”. W radiu, które odbierało tylko jeden, ale za to najnudniejszy program, czyli „1” podali w wiadomościach, że parę kolejnych osób umarło z zimna - w tym staruszek, którego nie stać było na opłaceniu ogrzewania. „Czy o taką Polskę walczył kiedyś?” Zadałem sobie pytanie, po czym poszedłem połamać deski na noc. Jak zwykle miałem trudności z rozpaleniem tego „złomu”, który miał pełnić rolę pieca. Tracąc nerwy w końcu rozpalilem za n-tym razem i położyłem się spać. W środku nocy obudziła mnie skacząca po mej twarzy Papryka.

Cały pokój był zac zadzany. Szybko wstałem, wziąłem psa i wybiegliśmy z pokoju, a potem z równie zadymionego korytarza. Na pierwszym piętrze dymu nie było. Zostawiłem tam Paprykę, zaczępnąłem świeżego powietrza i pobiegłem z powrotem do pokoju. Pierwsze, co zrobiłem, to otworzyłem okna, najpierw u siebie, a potem inne by był przeciąg. Następnie zgasiłem piec wlewając do niego wody. Potem zszedłem na dół i czekałem z Papryką, aż się przewietrzy. Pies uratował mi życie, być może gdyby nie ona to obudziłbym się wśród martwych. Gdyby nie świadomość, że muszę żyć dla Janki i dziecka, które nosi zadowolony byłbym ze śmierci, która wyrwałaby mnie z tego piekła. Tylko Janka i nasze dziecko trzymało mnie przy życiu. Tylko miłość i odpowiedzialność powstrzymywała mnie przed samobójstwem.

POCZĄTKI SPOKOCHATY

Moje stosunki z Backiem z dnia na dzień się pogarszały. Mój najlepszy kumpel zaczął się do mnie przyczepiać o coraz mniejsze szczegóły. Ja starałem się wychodzić obronną ręką, przez co klóciliśmy się jeszcze bardziej. Stawało się dla mnie jasne, że jeśli się nie wyprowadzę, to nasza „przyjaźń” może zakończyć się nawet bójką. To była tylko kwestia czasu. Nasze kłótnie stawały się coraz bardziej zajadłe. Więc gdy tylko Kwiatek i Agniecha zdecydowali się zamieszkać na skłocie, od razu wybraliśmy termin przeprowadzki.

Niestety Agniecha nie mogła od rana urządzać mieszkania, ponieważ miała pracę. Ominęło ją wiele roboty. Za nią pomagała nam Ewa – jej siostra, która w przyszłości miała z nami zamieszkać. Roboty było od groma. Na sam początek wybraliśmy jedno z mieszkań, które były puste. Oprócz mnie, Ewy, Kwiatka, którzy zamierzaliśmy skotłować, pomagali nam Bacek i Rolnik, gościu, który nas tu przyprowadził. Gdy już wybraliśmy, wzięliśmy się za sprzątanie. Śmieci było gdzieś tam po kolana, a gdzieś tam po uda. Zdaje się, że uprzedni i ówczesni mieszkańcy naszej klatki nie trudzili się wynoszeniem śmieci do śmietnika, lecz wyrzucali je do sąsiednich pustostanów, czy nawet pokoi. Jeden nawet, którego zdążyliśmy już poznać na wizycie, zapoznawczej”, tzw. „Czołg” od „czołgów” na głowie, srał i odlewał się w pokoju obok, przez co śmierdziało w całym mieszkaniu. Ohydą!

Ohydą była też nasza praca. Mimo tego, że to, co miało zgnić już pogniło lub wyschło, to usuwanie góry śmieci nie należy do przyjemniejszych zajęć, chociaż miało też przyjemniejsze strony. Wśród śmieci można było znaleźć całkiem interesujące rzeczy, tzn. wiele sprzętów, dupereli, które mogłyby się nam z czasem przydać, dużo raczej nieciekawych książek, dużo map, doniczki, żyrandole, walizki, guziki i inne różności. Była tam też przeogromna masa „świerszczyków” i kołpaków samochodowych, co mogło świadczyć o wręcz fanatycznym zamiłowaniu do tych rzeczy poprzedniego mieszkańca. Robota szła sprawnie i szybko. Raczej nikt się nie obijał. Wynosiliśmy prawie wszystko w tekturowych pudłach z braku czasu pustostan obok. Głupio mi było robić coś, co potępiam, lecz za to z góry sobie obiecałem, że nie będziemy wyrzucać własnych śmieci na pustostanie, a ponadto będziemy starali się je segregować. Gdy w miarę posprzątałymy opuściła nas Ewa, która chciała już pojechać do domu rodzinnego, który mieścił się w małej wiosce koło Mińska Mazowieckiego. Bacek i Rolnik wzięli się za zamek, a ja za przepychanie kibla, co uważam za jeszcze gorszą robotę niż sprzątanie śmieci. Ktoś jednak musiał ją zrobić. Podziubałem, podziubałem. Kilka razy przyniosłem z dołu trochę, wody, spuściłem i pierwsza, jedna z najważniejszych wygód na naszym skłocie zaczęła funkcjonować. Co prawda jeszcze tamował odpływ jakiś

kamień, czy coś. Czasami przez to zapychał się kibel i trwały awantury o to, kto go zapchał i kto ma go przepchać. Na szczęście ktoś kiedyś się odważył i w jakiś sposób go wyciągnął, bo kamień, czy coś znikło.

Gdy skończyłem z kibelem, zobaczyłem jak chłopakom idzie robota. Bacek poza tym, że nie wiem po co, powykręcał ze wszystkich futryn „zamki klamkowe” zaczął nożem Rolnika wybijać dziurę. Nie wyglądało mi to wszystko na roboty fachowca, który tak pięknie zrobił meble w swym mieszkaniu, że wyglądały jak kupowane (jeśli nie były). Trudziło się jeszcze z wybicciem dziury z godzinę, po czym okazało się, że zrobili ją w złym miejscu. Przez to mocny zamek Gerdy, który wziąłem od ojca mógł zostać wywalony byle, jakim kopnięciem. Trochę mnie to wkurzyło, co dałem znać w słowach – co za fachowcy, co partaczą robotę! Te słowa z kolei wkurzyły Backa. Na zamku zakończyliśmy całą robotę na dzień dzisiejszy.

Mieliśmy wracać tramwajem. Czekałszy trochę już przydługo, choć widać było, że tramwaj stoi przystanek przed. Pewnie wypadek, albo coś mu się zepsuło. W końcu, Bacek się znecierpliwiał i zarządził:

– Pieprzone tramwaje. Chodźcie idziemy – i nie czekając na to, czy ktokolwiek też chce iść na piechotę, poszedł. Wkurzyło mnie to i znowu zacząłem się z nim kłócić.

FOOD NOT BOMBS

Food not bombs – jedzenie zamiast bomb, to powstała w 1981 roku organizacja, której główną ideą jest rozdawanie wege jedzenia przez anarchistów, którzy już poprzez samą nazwę ukazują, że zbyt dużo pieniędzy jest wydawane przez rządy na zbrojenia, podczas gdy tak wielu ludzi głoduje. Poprzez te akcje anarchiści doskonale udowadniają, że mają do zaproponowania dużo lepszy porządek niż politycy, którzy tak często ustanawiają swój „porządek” poprzez wojnę i terror oraz by pomagać innym wcale nie są konieczne przymusowe podatki, lecz wystarczy zwykły odruch ludzkiego serca.

Nie wiem, z jakich powodów obudziłem się na Alexanderplatz. Byłem mocno skacowany i byłem kurewsko głodny. Jak zwykle w takich wypadkach zacząłem sępić pieniądze by czegoś się napić i coś przekąsić. Ledwo zacząłem to robić, a podszedł do mnie niemiecki punkowiec, którego też sytuacja zmusiła i zapytał się:

– Cześć Hipi! Chcesz zjeść coś dobrego za darmo?

– Kur...! Tylko nie Hipi! Pewnie, że coś bym zjadł – odparłem

– To chodź ze mną. O 14.00 będą rozdawali tutaj obok

– To jest już druga godzina??!

– A, co nie wiedziałeś?

– Długo spałem.

– Zdarza się – odparł mój towarzysz i poszliśmy na drugą stronę placu gdzie stał biały, busowy Volkswagen. Obok znajomi sępiarze już posilali się zupą. Zeszło się też sporo bezdomnych.

Ortodoksyjnie wyglądający punkowiec w moim wieku nalewał wszystkim wegańską zupę, przy czym wszystkim życzył smacznego oraz zapraszał nas i innych za tydzień. To była jego anarchia.

Jedząc ten porządny, zdrowy posiłek, który należał się mojemu ciału już od paru dni, rozmyślałem sobie: "Kur...! Przecież na jego miejscu równie dobrze mógłbym stać ja. Zamiast tak codziennie zalewać się alkoholem powinienem tak jak oni robić coś

pozytywnego". Podobała mi się ta akcja. Była szczerza i konkretna. Jedząc zacząłem gadać z tym punkowcem.

- Skąd macie pieniądze na jedzenie?
- Zrzucamy się między sobą.
- Naprawdę? Z własnych pieniędzy?
- Tak

- I stać was na to wszystko? Przecież to masa żarcia, a jeszcze herbata i wasz czas. Kupa wydatków.

- Ciebie też byłoby stać gdybyś tak dużo nie pił.

- Pewnie masz rację. Może mógłbym Wam jakoś pomóc? W gotowaniu albo może, czym innym?

- No pewnie, jak najbardziej - wyraźnie ucieszyła go moja oferta - przyjdź w następną niedzielę do Blajby. Ty chyba wiesz gdzie to jest?

- Tak oczywiście, że wiem. Spróbuję przyjść - rzuciłem pustą obietnicę. Blajba to prowadzony, przez punkowców socjał gdzie można przez cały tydzień bardzo tanio śniadaniować, wykąpać się, wyprać rzeczy lub po prostu posiedzieć, pograć w bilard, piłkarzykami itp. Pobawić się na trzeźwo. Podziwiałem tych ludzi za tą akcję.

Ten podarowany obiad dał mi dużo do myślenia i utkwiał mi w pamięci na długo. Myślę, że na pewno miał duży wpływ na moje dalsze życie. Na pewno to, że podali mi rękę, mimo że byłem na dnie, że bezinteresownie mnie nakarmili było też jednym z powodów, dzięki którym sam w przyszłości zacząłem robić akcje Food not bombs.

Drugim ważnym zdarzeniem, które mogło na to wpłynąć, było to, że sam często w swym życiu bywałem głodny i dokładnie wiem jak to jest. Nawet sam będąc biedny poświęcałem swój czas, cierpliwość i pieniądze, bo dawanie komuś chronicznie głodnemu pożywienia daje tak duże bogactwo satysfakcji, niemalże równe szczęściu obdarowanego.

Po trzecie nie ma chyba lepszego przykładu na prawdziwą anarchię, na dobro międzyludzkie jak dzielenie się jedzeniem z ludźmi biedniejszymi, podczas gdy samemu nie ma się zbyt wiele. To jeden z lepszych sposobów by uczyć ludzi, że można żyć inaczej, że nie trzeba żyć egoistycznie, że nie wszyscy musimy brać udział w wyścigu szczurów po pieniądze i że euro nie musi być naszym bogiem.

W dzisiejszych czasach uważam Food not bombs również za dobry sposób, by obronić się przed morderczym i bezdusznym kapitalizmem. Nauczyć ludzi być dobrymi dla siebie, tak jak mnie niegdyś nauczono. Z tego też powodu często najbardziej angażowali się w to skłotersi i inni wcale nie za bogaci ludzie.

Bardzo istotnym powodem prowadzenia całej akcji był sprzeciw przeciwko coraz większym wydatkom na zbrojenia, podczas gdy coraz więcej bezdomnych, głodnych i biednych widać na ulicach. Poprzez prowadzenie tej akcji chcieliśmy pokazać i ośmieszyć rząd od tej strony, że w przeciwieństwie do nas kilku biednych anarchoskłotersów nie potrafi (a raczej nie chce) pomagać biednym.

Z resztą powody, dla których prowadziłem tą akcję, myślę, że nieźle opisałem w „Makulatureczce” nr 10, którą warto by tu przytoczyć [znajduje się jako wkładka do broszury - przyp. wydawcy].

Uważam także, iż warto by przytoczyć tu także inne treści ulotek na ten temat napisanych przeze mnie. Tym bardziej, że nigdy wcześniej nie były jeszcze publikowane na szeroką skalę. Jedynie na początku starczyło nam czasu i energii na to by zrealizować ich odbijanie i rozdawanie.

Dobrze, że i tym razem Anka, Szymon i inni z Ursynowa przybyli pomóc. Ostatnio u nas, skłotersów było trochę krucho z kasą. Wiadomo – deszcz, koniec miesiąca, przerypane. Ja cokolwiek musiałem zawieźć rodzinie, Łysa była już dawno po wypłacie, a reszta i tak żyła z dnia na dzień.

Próbowaliśmy znaleźć i wykorzystać inne sposoby zdobywania warzyw i innych produktów żywnościowych. Kupowanie ich z własnej kieszeni w naszym wypadku mogłoby kiedyś okazać się poświęceniem nie do przeskoczenia. Łysa pytała się w „Eklerku”, lecz te ciule wolą wyrzucić niż dać komuś. Jak zwykle dużo miłsi okazali się właściciele małych zieleniaków. Oni przynajmniej dali, choć te 2,3 jabłka. Niestety dla tak małych ilości było szkoda zachodu. Dobrze, że pomagali nam ludzie z zewnątrz, tak jak te anarchopunki z Ursynowa. Oni byli konkretnie aktywni. Kiedyś nawet napisali i wydali sporo ulotek o Food not bombs. Tym razem przywieźli...

- Griks, popatrz na to – powiedziała Anka rozwijając transparent.

- Ła!!! Wspaniały – stwierdziłem z zachwytem, a moim oczom ukazało się znane logo FNB z marchewką w zaciśniętej pięści – Kto go namalował? –zapytałem zaintrygowany.

- Ja – odpowiedział Szymon – Ale trzeba jeszcze poprawić dobrą farbą, bo ten marker to nawet deszcz zmyje.

- Ja mam taką farbę do robienia naszywek, później to zrobimy. Teraz weźmy się za gotowanie – powiedziałem.

- Najpierw zobaczymy, jakie mamy składniki i czy trzeba coś kupić – zaproponowała Łysa.

- No właśnie. My przywieźliśmy trochę jedzenia – poinformowała Anka pokazując zawartość plecaka.

- O kostka sojowa. Zajebicie! – ucieszył się Rolnik.

- Będzie dobra do kaszy Gryczana. Ha ha ha ha! – śmiała się Ewka.

- To może makarony zostawmy, na kiedy indziej, dokupmy kaszę, warzywa i zrobmy tą kaszę Gryczana – zadecydowała Łysa.

- To, kto się zrzuca – zapytałem wyjmując piątkę z kieszeni, a kilka osób dorzuciło jakieś tam drobne.

- Uzbierało się 17zł i 45gr – przeliczyła Ewka – To, kto idzie na zakupy?

- Ja mogę iść – zaoferował Kwiatek.

- To ja idę z Tobą, a co w ogóle mamy kupić? – zapytał Rolnik.

- Ze 2 kilo kaszy Gryczana, marchewkę, może być kalafior, jakieś warzywa, plantę¹... – wymieniałem chyba wszystko.

- Zapomniałeś wegety – przypomniała Łysa.

- No właśnie, żebyście tylko wy o niczym nie zapomnieli.

- Ja będę pamiętał warzywa a ty resztę. Dobra? – wymyślił Kwiatek.

- To kasza, wegeta i...planta. Aha jeszcze piwo – zażartował Rolnik.

- Nie zapomnijcie o czosnku! – przypomniała Anka.

- Właśnie, a my możemy już w tym czasie zacząć gotować wodę – zaproponowała Łysa.

- Tak, ale żeby ją gotować to najpierw trzeba by ją przynieść – stwierdziłem.

- To ja skoczę – zaoferował się Szymon – gdzie są baniaki?

- Jeden tu, a drugi u nas – poinformowała Ewka zlewając resztę wody do garnka, w którym by nie tracić czasu zaraz zaczęliśmy gotować. Po chwili wrócił Szymon.

¹ Planta – popularna w Polsce marka tłuszczu roślinnego.

Dolaliśmy wodę, a gdy się zaczęła gotować chłopaki byli już z powrotem z zakupami. Wrzuciliśmy całą kaszę do gotującej się wody, dodaliśmy kostkę planty i czym prędzej zabraliśmy się za obieranie marchewek i buraków, które pociapaliśmy na bardzo drobno, by ugotowały się równo z kaszą. Potem już bardziej na spokojnie dodawaliśmy ziemniaki, kalafior, kostkę sojową, cebulę wegetę, a na końcu, gdy się ugotowało czosnek, by bezdomni nie chorowali tak często. Przy coraz trudniej dostępnej dla nich opiece medycznej uodparnianie ich na wszelkie możliwe sposoby, stało się tak ważne jak ich dożywianie. Dlatego też w jednym dużym baniaku na wodę zagotowaliśmy miętę z miodem, co by od razu im się cieplej zrobiło.

Po niecałych czterech godzinach wsiedaliśmy już z pełnym garem „zapychacza”, baniakiem miętę i wszystkimi talerzami, łyżkami, widelcami oraz kubkami, jakie udało nam się w tym celu zgromadzić. Jednorazówek używaliśmy tylko w ostateczności, bo nie są one ekologiczne, a po drugie ja zawsze wychodziłem z założenia, iż przy naszych skromnych funduszach lepiej wydać pieniądze na więcej jedzenia niż na plastik. Bo trzeba się pochwalić, że czasem, przy lepszych kasowo dla nas czasach nasze menu było bogatsze o gar sałatki i jeden, a nawet dwa gary innych potraw jak np. ryżu z owocami by osłodzić, choć nieco życie bezdomnym.

Gdy jechaliśmy tramwajem ludzie często patrzyli na nas dziwniej niż zwykle. Największe zainteresowanie wzbudzał chyba nieco tajemniczy dla niektórych garnek, co od razu podchwycił Rolnik głośno się nabijając.

- Ewka, uważaj by pokrywka przylegała, bo się kompot wyleje!

- Ciiiiiiicho! Bo jeszcze moja mama się dowie - powiedziała dwudziestoletnia Łysa, która ze względu na swój nieduży wzrost wyglądała jak czternastolatka. Kupa śmiechu było z tego, lecz najwięcej, gdy niektórzy zgorszeni tym ludzie z obawą przesiadali się w inne części tramwaju.

Po kilku przystankach wysiedliśmy na Dworcu Centralnym. Czym prędzej udaliśmy się na stałe miejsce rozdawania. Tam bezdomni już na nas czekali. Staraliśmy się być zawsze na 19.00, lecz z różnych przyczyn często się spóźnialiśmy. Raz nawet byliśmy po 22.00, a Ci biedacy tak w nas wierzyli, że nawet do tej pory czekali i całe jedzenie i tak się rozeszło. To chyba tylko dzięki naszemu ciąglemu powtarzaniu: „Staramy się zawsze być na 19.00, ale wiecie jak to z gotowaniem – czasami się spóźnia. Jednego jednak możecie być zawsze pewni. Jesteśmy tu w każdą środę na mur”. Oni chyba to rozumieli, bo co tam zresztą wymagać punktualności od punkowców, którzy całe życie spóźniali się do szkoły.

Rozwiesiliśmy transparent i zebraliśmy się za rozdawanie. Po kolei nakładaliśmy talerz po talerzu i podawaliśmy je w oczekujące ręce. Na początku naszej akcji często podczas rozdawania ludzie kłócili się o kolejność. Z czasem na szczęście to zanikło, a nawet, gdy się zdarzało to raczej sporadycznie i zaraz sami siebie uspokajali:

- Spokojnie. Dla wszystkich wystarczy. Nie ma, co się kłócić – mówili.

Jednak niestety nie zawsze dla wszystkich wystarczyło. Zdarzało się tak, że jeden z ostatnich wyskrobywał garnek, że z bólem serca musieliśmy im tłumaczyć:

- Niestety zrobiliśmy tyle na ile było nas stać.

- Przyszłście niestety nieco za późno.

- Może następnym razem.

- Normalnie staramy się być po 19.00. Jeśli od tej godziny będziecie na nas czekać na pewno się załapiecie.

Nie czuliśmy się wtedy z tym dobrze, lecz cóż mogliśmy poradzić. Często było to naprawdę wszystko, na co było nas stać, a czasami nawet więcej. Moja żona

częstokroć robiła mi wyrzuty, że przecież my sami nie mamy domu i ledwo wiążemy koniec z końcem. Jednak ja wciąż pamiętałem mój głód i to, że mi też kiedyś pomogli. Wychodziliśmy z założenia, że przecież ktoś musi pomagać tym biedakom, a jak nie my to, kto???

Najgorzej po powrocie było ze zmywaniem. Ekipa „nie skłotersów” z Dworca Centralnego rozjeżdżała się do domów, a u nas nigdy nie było chętnych do tego zajęcia. Czasem robiliśmy to wszyscy razem, czasami znalazł się jakiś ochotnik, czasem losowaliśmy go, a nieraz mimo narzekania wszystkich gary czekały brudne na następną akcję. Co prawda to ostatnie zdarzało się bardzo rzadko, lecz niestety bywało i tak.

POŻAR W SPOKOCHACIE

Spaliśmy sobie spokojnie, gdy nagle obudziła mnie i innych Papryka. Zza drzwi usłyszałem jakieś hałasy. Zdało mi się, że ktoś włamał się do przedpokoju. Wskoczyłem tam z rurą w gotowości bojowej, lecz gdy zobaczyłem światła latarek, czym prędzej schowałem i zamknąłem się z powrotem. W jednej chwili przypomniała mi się groza napadu na Wilanowską. Przestraszony i pewnie błądy, powiedziałem:

– To policja!

– E tam! Nic nam nie zrobią – pocieszał jak zwykle beztroski Strojka.

– Może do nich wyjść? – zaproponował Nobo.

– Może rzeczywiście tak będzie lepiej – stwierdziłem i zacząłem ubierać się. Wziąłem Paprykę na ręce i przeżegnawszy się wyszedłem z pokoju. W mieszkaniu nie było nikogo, a mimo to światło latarki świeciło gdzieś w dużym pokoju. „Co jest grane?”. Pomyślałem zdziwiony i podszedłem do okna zbadać źródło. Okazało się, że to świeci strażak z platformy podnoszonej. Otworzyłem szybko okno i zapytałem:

– Co się stało?

– Na dole się pali.

Rzeczywiście leciał stamtąd całkiem niezły dym. Na dole kilka strażackich samochodów, duże poruszenie, słowem jak na filmach sensacyjnych.

– Czy jesteś sam? – krzyczał strażak.

– Nie! Czy istnieje dla nas jakieś zagrożenie?

– Tak! Ilu Was tam jest?

– Sześcioro.

– To zawołaj wszystkich i zjedziecie ze mną tą platformą.

– Ale jest jeszcze pies.

– To psa zostaw, nic mu się nie stanie.

– Ja bez psa nie pojadę.

– To zejście schodami.

– A da radę?

– Da, da.

I na tym zakończyliśmy dialog. Wszedłem z powrotem do pokoju i objaśniłem, co się dzieje, na co Strojka rzekł:

– E tam, jeśli powiedział, że psu nic się nie stanie, to mi też nic się nie stanie. Idę spać. – I poszedł spać.

– Idzie ktoś ze mną na dół? – zapytałem.

– No pewnie, trzeba dowiedzieć się, co się stało. Poczekaj, muszę się ubrać.

W tym czasie obudziłem Artura i Żaka, którzy gdy dowiedzieli się, co jest grane, stwierdzili, że też zejda. W miarę jak schodziliśmy coraz niżej dym i spaleniznę było czuć coraz bardziej. Było już chyba po akcji gaśniczej, bo czarne od sadzy schody były bardzo mokre, a na parterze była wielka kałuża. Jak się dowiedzieliśmy pożar wybuchł w piwnicy prawdopodobnie od instalacji elektrycznej. Przypomniało mi się jak z Wagą po raz kolejny podłączaliśmy odłączany przez „życzliwych” sąsiadów prąd, a z jakiegoś nie naszego kabla trzaskały iskry. Śmialiśmy się wtedy:

- Ha, ha, ktoś będzie miał problem!

- Taki łączony kabelek nie pociągnie długo. Ha, ha! Szybko się przepali.

Ale mi teraz było głupio.

Straż czekała na energetyków z elektrowni by ci odłączyli prąd. Stało się wiadome, że na jakiś czas będziemy się musieli pożegnać z prądem. Obawiałem się, że przy okazji zawałą nam kable, a jak zaczną dochodzić, kto podłączał, to wyjdzie oficjalnie na jaw, że cała kamienica kradnie prąd. Wówczas, w najgorszym wypadku czekały nas kolegia o wysokości kilkudziesięciu baniek. Perspektywa nie za ciekawa. Myśląc jak się przed tym uchronić wpadłem na pomysł i zagadałem do strażaka:

- Słyszałem, że czekacie na „elektrownię” by odłączyła prąd do kamienicy.

- Tak, to jest potrzebne by zlikwidować zwarcie powodujące pożar - odpowiedział.

- Widzi pan, tak się składa, że akurat wiem jak ten prąd odłączyć i jestem w stanie to zrobić, jeśli dacie mi izolowane kombinerki i obcęgi.

Na to strażak zawołał swego szefa i poinformował:

- Tu jest człowiek, który wie jak idzie instalacja i wie jak ją odciąć.

- W jaki sposób, gdzie? - zapytał starszy rangą.

- Jeśli dacie mi izolowane kombinerki i obcęgi to mogę to zrobić.

- Nie możesz. My nie możemy narażać twego życia. Musisz nam wytłumaczyć.

- No dobra - odparłem i wytłumaczyłem im jak to zrobić.

Jeden ze strażaków zagłębił się w piwnicę, lecz wrócił po jakimś czasie i oznajmił, że nie może tam dojść, bo jest pełno wody i śmieci. Czekali dalej na energetyków, a ja stwierdziwszy, że nasze życie nie jest zagrożone poszedłem, tak jak Hogata wcześniej na górę do domu spać. Rano obudziliśmy się bez prądu.

NARODZINY SZCZENIAKÓW

Papryka sprawiała od kilku dni wrażenie jakby miała rodzić. Właśnie dlatego do Janki przyjechałem tylko na parę godzin, bo nie mogłem i nie chciałem zostawiać rodzącej suki bez jej opiekuna. Całe szczęście, że moja niunia to rozumiała i bez problemów mnie puściła. Dla Papryki, młodej suki, rodzącej po raz pierwszy obecność najbliższej osoby na pewno ją uspokajała i pomagała przetrwać jej te ciężkie chwile. Ktoś musiał odebrać poród i lepiej by była to osoba, której ufa, niż osoba, którą by miała pogryźć. W sumie to Wagę, Hogatę i Noba zdążyła już poznać, lecz nie w takim stopniu jak mnie. Obawialiśmy się trochę, że w trosce o szczeniaki, w bólu i zdenerwowaniu młodej, niedoświadczonej matki mogłaby stwarzać kłopoty. Z drugiej strony to też bardzo chciałem być przy tym wzniosłym wydarzeniu - narodzin nowego życia, a w zasadzie kilku. To wielka radość patrzeć na ten cud natury, to wielkie szczęście w nim uczestniczyć. Jakże żałowałem, że nie dane mi było uczestniczyć, być obecnym przy porodzie Ney. Kosztowało to 50 zł, a nas nie było na

to stać w tej ciężkiej sytuacji. Tyle problemów wówczas miałem. Z drugiej strony to chamstwo, że za takie rzeczy trzeba płacić.

Gdy przyjechałem nalałem świeżą wodę Papryce i zaryzykowałem pójść na myjkę. Uspakajał mnie fakt, że suki zwykle rodzą wieczorem lub w nocy oraz, że Papryka jeszcze nie zdradzała żadnych objawów obecnych parę minut przed porodem. Jednak, gdy wróciliśmy z myjki stwierdziłem „to chyba już dziś”. Wkurzało mnie takie czekanie w niepewności.

- Masz rację, zachowuje się tak jak było napisane w książce – potwierdziła Hogata, gdy Papryka drapała w materac, chcąc go jeszcze lepiej przygotować do przyjścia nowych domowników. Cała była spocona i denerwowała się nie mniej niż ja. W oczekiwaniu po raz kolejny czytałem w książce, co trzeba robić, aby poród udał się jak najlepiej. Jednak czytanie czegoś w kółko szybko mnie znudziło, więc zacząłem czytać ziny. Niewiele z nich rozumiałem, bo trudno mi było się skupić na tekście. Cały czas myślałem o Papryce, co chwilę przerywałem lekturę i czule ją głaskałem pocieszając przy tym:

- Nie denerwuj się Papryczka, wszystko będzie dobrze. Dzisiaj urodzisz dzieciaczki, wiesz? Takie... Wiesz ile ich będzie? Nie wiesz? Nie liczyłaś? Nie martw się wszystko będzie dobrze, musisz być dzielna – tak jej gadałem, a ona patrzyła na mnie ufnie swymi złaknionymi oczyma. Gdy Nobo, Waga i Hogata wyszli do Artura zapalić, (bo u nas w pokoju ze względu na ciężarną mamę panował zakaz) Papryka wyłożyła się nieco na grzbiecie i zaczęła stękać. Głaszcząc ją delikatnie uspakajałem ją i mówiłem cicho:

- Przyj Papryka, przyj.

W międzyczasie do pokoju weszła Hogata, bo tylko jej pozwoliłem wejść. Nie chciałem by zbyt duża liczba „dalszych” osób denerwowała Paprykę. Hogatę Papryka już polubiła. Agnieszka opiekowała się już sunią i dalej się nią miała opiekować, podczas gdy ja jeździłem do rodziny, więc dobrze byłoby gdyby oswoiły się ze sobą także w ciężkich chwilach. Po drugiej Agnieszka była potrzebna w razie, czego jako „asystentka”. Po paru chwilach takiego parcia z Papryki wyszedł tułów pierwszego szczeniaczka. Jednak główka jego się zaklinowała i malec nie mógł wyjść, co matce sprawiało ból. Mimo parcia Papryki szczeniak nie mógł wyjść. Gdy sunia już nie wytrzymywała i patrzyła zbolalym, panicznym wzrokiem chwyciłem oślizgłego szczeniaka, który był jeszcze w worku i wodach płodowych i delikatnie, lecz zdecydowanie wyciągnąłem go z Papryki. Zabolało ją to, aż pisnęła, jednak od razu poczuła ulgę i spojrzała na mnie z wdzięcznością. Potem zerwała z dziecka worek płodowy i jak to suka zjadła go. Następnie lizała szczenię by go umyć, oswoić z otoczeniem oraz pokazać mu swą bliskość i to, że wcale go nie opuściła. Potem przytuliwszy go do siebie odpoczywała po tym ciężki wysiłku. Trochę to długo trwało, tak długo, że Hogata pierwsza zapytała:

- Czyżby to koniec?

- Nie, to nie możliwe żeby był tylko jeden – zapewniałem. W bezdechu zacząłem się zastanawiać: „Papryka jest bardzo młodą mamą. Może tak na początek urodzi tylko jednego. Jak go podzielić między pięcioro chętnych? Komu dać szczeniaka skoro wszyscy są odpowiedzialni? Jak zrobić by nikt nie był poszkodowany?”. Znowu zacząłem czytać książkę o psach by dowiedzieć się, co ona twierdzi na ten temat. Wiadomość, że suka rodzi nawet godziny, uspokoiła mnie. Zbadałem Papryce brzuch i zdało mi się, że coś tam jeszcze jest i rzeczywiście sunia po jakimś czasie zaczęła stękać. Po chwili „wyparła” kolejnego malca. Tym razem obyło się w mniejszym bólu

i bez kłopotu. Papryka jeszcze nie zjadła do końca worka płodowego, kiedy zachęcona przeze mnie urodziła trzeciego szczeniaka. Zdało nam się, że na tym poród się zakończył. Papryka zaczęła odpoczywać i nic nie wskazywałoby miała jeszcze rodzić. Gdy zjadła worki płodowe mogliśmy oglądać trzech nowych skłotersów. Najstarszy z nich był nieco większy od dwóch młodszych, kolor miał jasno szary. Drugi był czarny z białą łatką na piersi. Najmłodszy był tak samo szary jak pierwszy, lecz od połowy grzbietu do ogona ciągnął się ciemny pasek. Stwierdziliśmy, że ma „crusta” i od razu ochrzcziliśmy go „punkowcem”. Matka wylizala ich ze śluzu, przez co ich sierść stała się bardziej puszysta a one stały się jeszcze bardziej piękne. Ze swymi krótkimi łapkami przypominały bardziej jakieś zmutowane dzikie szczury niż psy. Te cuda natury pchane jakimś niezbadanym instynktem znalazły u matki cycki i z wielkim zaparciem zaczęły je ssać. Odtąd na jakiś czas było to ich głównym zajęciem, oprócz spania. Jak nie spały to jadły, jak nie jadły to spały. Na tym mijał im czas. Gdy minął nam pierwszy zachwyt zaczęliśmy się szykować do spania. Nawet nie zauważyliśmy, gdy Papryka urodziła czwarte dziecko. Był dużo mniejszy od starszego rodzeństwa, niewiele większy od kociego noworodka. Jednak energia, z jaką dopadł do mleka rokowała nadzieje na to, że dogoni inne. Tak jak dwoje z rodzeństwa był szary. Była już późna godzina. Wszystko było w porządku, więc położyliśmy się spać. Gdy obudziliśmy się rano dostrzegliśmy, że Papryka urodziła piątego szczeniaka. Był czarny i jeszcze mniejszy i bardziej wątły niż jego poprzednik. Do tego prawie wcale nie garnał się do mlekodajnych cycków. Gdy go podkładaliśmy to owszem ssał, lecz był na tyle leniwy, że gdy skończył jeść to nie układał się spać, lecz zasypiał w tej samej pozycji. Miałem nadzieję, że jedzone mleko postawi go na nogi.

Wziąłem Paprykę na krótki spacer, bo przecież to był pierwszy raz, kiedy maluchy zostały same bez mamy a do tego w obcym świecie. Wszystkie podniosły niesamowity, płaczący pisk, przez co ich rozpacz dało się słyszeć nawet na dole. Płacząc chodziły po całym kojcu w nadziei odnalezienia mamy, lub też leżały w miejscu i jak najgłośniej wyrażały swój niepokój, strach i niezadowolenie. Szczeniąt nie można było jeszcze wyprowadzać, bo były jeszcze ślepe i mało odporne na choroby. Taka niska temperatura na pewno by ich przeziębila, co w tym wypadku groziło śmiercią. Na razie wszystkie maleństwa oddawały nieczystości gdzie popadnie, w kojcu. Może nam się wydać wstrętne, że Papryka wszystkie te gówienka od razu zjadała. Dzięki temu przynajmniej my nie musieliśmy jeszcze po nich sprzątać. Natura tym razem okazała się obrzydliwa, ale za to praktyczna.

Papryka będąc na spacerze szybko się załatwiła i z gorliwością dobrej matki, czym prędzej pospieszyła z powrotem do maleństw. Nie była ona jednak wzorową mamą. Ilekroć zmieniała pozycję lub kładła się w kojcu, nigdy nie zwracała na dzieci uwagi i deptała po nich lub kładła się przygniatając je swoim ciężarem. Wywoływało to u nas strach o małe, oburzenie i złość na Paprykę. Ochrzaniałem ją wówczas:

- Co robisz ty głupia suko! Chcesz je pozabijać!? Nie wolno tak.

Agnieszka zaś tłumaczyła:

- Papryka, to są twoje dzieciaczki, nie możesz po nich chodzić.

Nie wiem ile z tego wszystkiego trafiało do suki. Trochę obawiałem się zostawiać Paprykę samą z małymi, lecz musiałem zarabiać by utrzymać swą rodzinę... no i teraz Papryki rodzinę też. Na myjce poszło spoko. Gdy wróciliśmy był już późny wieczór. Od razu, gdy wszedłem do pokoju, poszedłem zobaczyć małe. Oglądam, liczę i... tylko 4, sprawdzam i dalej tylko 4. Brakowało najmłodszego. Znalazłem go ledwie

żywego, leżącego samotnie w drugiej części kojca. Chyba nie miał nawet sił by płakać, czy piszczeć. Wkurzyłem się na Paprykę niesamowicie:

- Co zrobiłaś!!! Jak tak można?! Chcesz, aby umarł?! Nie wolno tak!!! Jeszcze raz tak zrobisz to zobaczysz!!!

I żeby dać jej do zrozumienia, iż nie żartuję, złapałem ją za kark i potrząsnąłem znacząco. Obawiałem się, że Papryka odrzuca malego, dlatego że nie może go wykarmić lub dlatego iż uważa go za jednostkę zbyt słabą, by przeżyć. Pod tym względem natura potrafi być naprawdę okrutna.

Podsadziłem szczeniacka do cycka. Trochę possał, lecz szybko się zmęczył i zaniechał. Ja dalej uparcie podsadzałem go do sutka i mówiłem:

- Jedz malutki, jedz. Będziesz silniejszy. Teraz musisz dużo jeść, by dogonić swoje rodzeństwo.

Niestety malec wcale mnie nie słuchał i za każdym razem, gdy podsuwałem go do Papryki, wypijał coraz mniej łyków aż w końcu zupełnie opadł z sił i zasnął.

- No dobra. Prześpij się, by nabrać sił do dalszego jedzenia - stwierdziłem i wraz z Nobem zajęliśmy się obiadowolacją.

- Ty obierz cebulę, a ja przygotuję kostkę sojową i potem to wszystko usmażę.

- Dobra - przystałem na to i wziąłem się za obieranie. Tymczasem Waga sprzątał a Hogata zmywała naczynia. Co jakiś czas sprawdzałem, czy u szceniąt wszystko w porządku. Za którymś razem zauważyłem, że maleństwo znowu leży odtrącone w kącie kojca. Znowu ochrzaniłem Paprykę i znowu przytykałem wyrzutka do cycka. Tym razem był bardziej słaby i wypił jeszcze mniej niż poprzednio. Mimo, iż matka, po każdej takiej akcji dostawała jeszcze większy ochrzan, to i tak uparcie robiła to dalej. Efektem mego strofowania było jedynie to, że Papryka patrzyła na mnie coraz smutniejszym wzrokiem, który zdawał się mówić: „Griks, Ty nic nie rozumiesz! Ten szceniak jest zbyt słaby, by przeżyć. Nawet gdybym go utrzymała przy życiu, to, gdy nie będzie mnie już przy nim nie da sobie rady i będzie się jeszcze bardziej męczył” albo może: „Griks, nie jestem w stanie wykarmić aż tyle szceniąt, to jest mój pierwszy poród, a ja jestem jeszcze taką młodą i niedoświadczoną matką”, lub może myślała całkiem, co innego.

- Ona go odrzuca - dokonał odkrycia Waga.

- Wiecie, moja ciotka, gdy jej suka miała szceniaki i jednego odtrącała, to go karmiliśmy strzykawką - rzekł Nobo.

- I, co? Przeżył? - zapytała Hogata.

- Nie - odpowiedź była smutna.

- W podstawówce była bajka o sarence... Jak to było...? „Rogaś z doliny Roztoki”, czy jakoś tak. Tam znaleźli małą sarenkę, bez matki i potem karmili ją strzykawką, czy butelką ze smoczkiem - opowiedziałem.

- Butelka dla szczeniaka jest nieco za duża - stwierdził Waga.

- Więc trzeba strzykawką - powiedziała Hogata i zaraz dodała - mi się wydaje, że psom się daje mleko przegotowane rozrobione z też przegotowaną wodą.

- Ciekawe tylko, w jakich proporcjach? - zadałem pytanie.

- Chyba pół na pół - powiedział niepewnie Nobo.

- A Ty skąd to wiesz? - miałem wątpliwości.

- ...Tak mi się wydaje.

- No dobra, nie ważne, niech tak będzie. Proporcje go nie zabiją. Ja pójdę po mleko, a Wy przerwijcie to smażenie i przegotujcie wodę. Dobra?

- Dobra - odpowiedział Nobo, a ja się ubrałem i poszedłem do sklepu. Musiałem iść trochę dalej, na Jana Pawła, bo wszystkie sklepy w pobliżu były już pozamykane. Gdy wróciłem woda była już przegotowana, a smażenie obiadokolacji dobiegało końca. Wymieszałem mleko z wodą w strzykawkę, musiałem je jeszcze nieco przestudzić. Jak to zwykle robić dla Ney, wstawiłem je do naczynia z zimną wodą, by szybciej przestygło. Gdy było gotowe, zacząłem karmić szczeniaka. Pierwsze parę łyków wchłonął bez problemu. Potem już nie bardzo chciał. Dodatkowym problemem było to, iż ciężko było mi tak naciskać strzykawkę, by nie wylaływało zbyt dużo mleka. To i opór malca powodowało, że więcej mleka łądowało na podłódze niż w brzuchu szczeniaka. Coś tam jednak brzdąc wypijał. Opróżniwszy całą strzykawkę skończyłem.

- Na dziś Ci starczy. Będziesz żył. Możesz iść spać - i położyłem malucha do matki. Hogata, która po zmywaniu obserwowała Paprykę ze szczeniakami, poinformowała mnie:

- Griks, a zauważyłeś, że ten drugi, mały, też jest jakiś niemrawy?

- Co?! Kurcze błądź! Naprawdę?

- No sam zobacz - powiedziała Agnieszka, więc zacząłem obserwować. Mały rzeczywiście nie ciągnął cycka z końską pasją, jak jego zdrowe rodzeństwo, lecz leżał obok wyczerpany. Zacząłem wciskać go na wymiono, delikatnie je naciskając, tak by leciało mleko. W ten sposób zmuszałem malucha do jedzenia. Było to możliwe, bo szczeniak ten miał jeszcze jako taki odruch ssania, czego najmłodszy nie posiadał.

- Ten to przynajmniej ssie jak go do cycka przystawić.

Gdy sprawdziłem, czy się najadł, położyłem go tak jak najmłodszego. W tym czasie Nobo, Waga i Hogata zaczęły już jeść obiadokolację. Moja porcja kostki sojowej zasmażanej w cebuli już na mnie czekała.

- Musisz sobie doprawić, bo nie chciałem przesadzać - poinformował Bono.

Zjadłem, umyłem się i poszedłem spać. Rankiem, gdy obudziłem się okazało się, że najmłodszy znowu leży odrzucony.

- Papryka! Co zrobiłaś!!!! - wydarłem się na nią. Wziąłem malca i poczułem, że jest sztywny i chłodny. Z naiwną nadzieją chuchnąłem na niego kilka razy. Potem sprawdziłem czy bije mu serce. Nie biło. Żadnego śladu życia. Rozpaczliwie skrzyczałem znów matkę:

- I, co? Zadowolona jesteś?! Pozbyłaś się kłopotu to Ci chodziło.

- To nie jest jej wina, że urodził się za słaby, by żyć - bronił jej przebudzony Waga.

Zapakowałem umarłego w worek foliowy i na razie położyłem go koło kosza.

- Stan tego drugiego też się pogorszył. Jest taki niemrawy jak tamten wczoraj - zauważyła obudzona moimi krzykami Agnieszka.

Wziąłem malca do ręki i rzeczywiście nie było z nim dobrze. Bezsilna główka opadała na moje palce. Podstawiłem go tak jak wczoraj pod cycka. Nie wiem, czy zdołał złapać, choć kilka łyčzków, a już się osunął.

- Idę do weterynarza - podjąłem decyzję, a ubierając się poprosiłem jeszcze - Hogato, patrz od czasu do czasu by Papryka go nie odtrącała.

- Dobrze - przytaknęła.

Weterynarz był niedaleko skłotu, na Stawki. Przede mną już ktoś był ze swoim psem. Musiałem poczekać. Gdy nadeszła moja kolej, wszedłem do gabinetu. Doktorem była młoda kobieta.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry.

- Proszę Pani, moja suczka ma właśnie szczeniaki. Dwa z pięciu urodziły się dużo mniejsze niż rodzeństwo. Matka nie chce się nimi opiekować. Jeden z nich umarł dziś w nocy. Próbowaliśmy go dokarmiać mlekiem w strzykawce, ale...

- Takim zwykłym mlekiem nie powinno się karmić

- Ja je rozrabiałem, tak w proporcjach pół na pół.

- I, co z tego. Przecież mleko psa trochę różni się od krowiego.

- No tak...

- Jak tan drugi się czuje?

- Jest osłabiony. Przestał już nawet ssać pierś. Na początku czuł się chyba dobrze. Nic nie zauważyliśmy oprócz tego, że był mniejszy.

- A jak matka się do nich odnosi?

- Chyba nie najlepiej. Te małe to cały czas odtrąca, a jak zmienia pozycję lub się kładzie, to depcze po wszystkich i prawie nie zwraca na żadne uwagi. Czasami nawet boimy się, że im karki połamie albo je przygniecie.

- A ile suka ma?

- Niewiele ponad rok.

- Aaha... To jest za młoda. Jest nie dojrzała do macierzyństwa. Przez to te wszystkie problemy. Trzeba było pilnować.

- No tak...

- Dam panu specjalne mleko. Rozpuszcza się go w wodzie tak jak niemowlętom. Najpierw pan przegotuje wodę, potem...

- Wiem jak się to robi. Mam córkę - przerwałem, a ona skwitowała to bez zaskoczenia.

- Aha!

- Ile to kosztuje?

- 7 zł. Tu ma pan napisane proporcje i ile razy dziennie podawać. Najlepiej to robić strzykawką, chyba, że ma pan taką małą buteleczkę ze smoczkiem.

- A gdzie taką buteleczkę kupić?

- Oj, to trudno kupić. Chyba, że może w sklepie z zabawkami, taką dla lalek pan znajdzie.

- A jak pani myśli ten szczeniak przeżyje?

- Nie wiem, nie umiem panu odpowiedzieć. Nie widziałam go, nie znam jego stanu, ale jeśli będzie dobrowolnie jadł, będzie się dało go wykarmić, to ma szansę.

- Dziękuję, do widzenia!

- Do widzenia - i na tym zakończyłem wizytę.

Wracalem na skłot modląc się o życie tego czwartego: „Boże i tak mam ciężko w życiu, czy muszę jeszcze doświadczać śmierci. Ja tam mogę mieć przerypane, aby tylko inni nie mieli, żeby ten szczeniak przeżył”. I jak to w takich chwilach bywa, rozkleiłem się i z oczu popłynęły mi łzy. Zaraz je otarłem i w duchu zacząłem się pocieszać: „Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Ten szczeniak musi przeżyć”. Potem zacząłem myśleć na siłę o czymś innym, by zapomnieć o troskach i nie rozczulać się nad sobą. Wróciwszy na skłot, przegotowałem jak trzeba mleko. W międzyczasie jak stygło, zjadłem śniadanie. Potem karmiłem malca. Tak jak z poprzednim: więcej mleka się wylewało niż mały połykał, ale w końcu zjadł ile trzeba. Położyłem go głową przy piersi matki, gdzie momentalnie zasnął.

Następnie wzięliśmy sprzęt i pojechaliśmy na myjkę. Był mróz. Do wody trzeba było dolewać dykty, żeby woda na szybie nie zamarzała. W przeciwnym razie była lipa, bo zamiast ułatwić kierowcy widoczność skutecznie ją utrudnialiśmy. Takiego

lodu na szybie w żaden sposób nie szło zdrapać, a jeszcze w tak krótkim czasie na światłach to już w ogóle. Zwykle to w takie mrozy zwijaliśmy manatki i nie było pracy. Jednak pewnego razu Waga wytrzasnął mądry pomysł, by do wody dodawać denaturatu, to nie będzie ona zamarzać. Od tej pory problem nasz się skończył, chociaż nie do końca. Bywały mrozy, że nawet dykta nie pomagała. Tym razem było spoko. Pomyśliśmy do wieczora i wróciliśmy na skłot.

Szczeniak znowu leżał samotnie. Odrącony i coraz bardziej wątlły. Już nawet przestałem wydzierać się na Paprykę. Spojrzałem jedynie złym wzrokiem. Za to Hogata jej nie szczędziła tym razem:

- Ty ruo! Ty matką jesteś??!! Jak ty się troszczysz o swoje dziecko??! Odrącasz je?? Nie wolno tak!!

Gdy tylko się rozebrałem, przegotowałem szczeniakowi mleko. Jak już wystygło, zacząłem wstrzykiwać? Jadł jeszcze gorzej niż ostatnio. Musiałem mu trzymać lebek tak, by jednocześnie otwierać pyszczek, który całą resztką sił, jakie mu zostały. Próbowałem wymigać się od jedzenia. Karmiłem go na siłę mówiąc:

- Jedz maluszku. Musisz jeść, bo jak nie będziesz jadł to umrzesz z głodu.

Nie wiem jak dużo zjadł z tego, co mu dałem. W każdym razie większość wylądowała na gazecie. Dalsze karmienie nie miało sensu. Jedzenie chyba sprawiało mu ból. Pod koniec karmienia zaczął popiskiwać, a ostatnich łyków nie chciał przyjąć w ogóle. Położyłem go spać przy Papryce i pomyślałem sobie: „Cóż mogę dla Ciebie jeszcze zrobić szczeniaczku, by Ci się polepszyło”? ...I nie znalazłem na to odpowiedzi. Mogłem się jedynie pomodlić za niego, co z resztą zrobiłem. Nobo zrobił kanapki na kolację, które zjadłem ze smakiem, po czym położyłem się spać. Rano Hogata obudziła mnie mówiąc:

- Griks, on chyba nie żyje.

- Co? Naprawdę??!!

- No zobacz. Tak wygląda.

Malec leżał odrącony i samotny jak zwykle. Wziąłem go do rąk. Był sztywny, lecz jeszcze nie zimny. Z nadzieją naiwniaka, złapałem go za tylne łapy i zacząłem machać niczym wahadłem tak jak napisane było w książce. Co chwila przerywałem i chuchałem mu w pyszczek, by, choć trochę go ogrzać. Niestety na nic się zdały moje rozpaczliwe działania. Szczeniak był martwy, a ja nie chciałem w to uwierzyć. W końcu to do mnie dotarło. Byłem ogromnie smutny. Dostałem kolejnego kopa w mój i tak trudny życi. I tym razem Bóg mnie nie wysłuchał. Inni by może bluzgali, lecz to nie w moim stylu. W moim sercu zostało jedynie poczucie niesprawiedliwości, że nie zasłużyłem sobie na taki los. Cóż tak to jest, że Ci, co się starają być dobrzy, wychodzą zawsze najgorzej?. Pieprzone życie.

Zapakowałem pieska w worek i wyrzuciłem do śmietnika. Może według Was, może według niego też nie okazałem mu przez to szacunku. Taki już jestem. Po prostu nie uważam, by martwemu ciału należał się jakikolwiek szacunek. Trup to trup, nic więcej. Owszem ekologiczniej, a więc lepiej byłoby go zakopać, lecz leżał śnieg i nie miałem czasu. Może lepiej byłoby go wyrzucić pod drzewo, lecz złośliwi sąsiedzi wzięliby mnie na języki, a po co. Sam nie mam nic przeciwko temu, by ktoś me ciało wyrzucił na śmietnik – jeśli tak będzie dla niego najlepiej. Jeśli jakieś moje organy mogą uratować komuś życie, to jeszcze lepiej. Przynajmniej do czegoś się

² Teraz uważam zupełnie odwrotnie, bo to już inne czasy.

przydam. Na pewno nie chcę stwarzać kłopotu, a już na pewno nie zgodzę się na jakieś kosztowne nagrobki, opłatę za miejsce na cmentarzu, czy wydawanie kasy na stypę itp. Mojej duszy o wiele bardziej pomoże, jeśli ta kasa pójdzie na np. Food not bombs, czyli na Wege Jedzenie dla bezdomnych. Jak mam już być pochowany, to skromnie, w lesie, a zamiast krzyża niech zostanie posadzone drzewko, na którym będzie można powiesić krzyżyk, bo przecież jestem chrześcijaninem?

Tak to ze szczeniąt zostały tylko trzy: Moris, Matylda i Miśka. Jedne lepiej, drugie gorzej, ale wszystkie chowały się w miarę dobrze. Przez długi okres rozpieprzały i zasrywały nam całe mieszkanie. Doszło do tego, że niektórzy np. Waga zaczęli nasz słot nazywać nie SPOKOCHATA, lecz SPOKOSRAKA. By jak najszybciej pozbyć się problemu, gdy tylko było można oddałem je. Długo myślałem nad doбором właścicieli, by moje „wnuczki” miały dobrze, lecz i tak wybrałem nietrafnie. Morisa dałem Izie. Jest ona dobrą kumpelką, ma dwoje dzieci, które tak jak ona i jej mąż są wegetarianami. Myślę, iż ma u nich bardzo dobrze i dbają o niego. Szkoda, że Zielonka jest kawalek od Warszawy i Moris nie może odwiedzać Papryki, mnie i swego rodzeństwa. Podobno niezły z niego urwis i zawiadiaka.

Matylda to wbrew pozorom pies nie suczka. Dałem go Wadze i wówczas jeszcze się nazywał po mamie Azja. Waga jednak po pewnym czasie rozmyślił się i sprezentował psa Waldiemu i Ewie. Ci nazwali go Matylda. Nie miał u nich najlepiej. Często chodził głodny, nie był wyprowadzany na czas, przez co srał gdzie popadnie, za co z kolei był zbyt surowo karany. Gdy Ewa miała wypadek wychodząc z McDonalda (Bozia ich skarala?) Matylda został sam z Waldim. Ten zaczął pić i przeprowadził się wraz z częścią „rodziny” na Grzybowską. Potem Waldi z Matyldą pojechali do Krakowa odwiedzić Ewę w izbie dziecka. Tam okazało się, iż Waldi jest chory na żółtaczkę. Poszedł do szpitala, a psa zostawił pod opiekę rynkowym żułom: Mefisto i Serkowi. Według ich opowieści, dali Matyldę jakiejś gościówce z Warszawy, by się z nim przeszła na spacer, a ta zniknęła wraz z psem. Moim zdaniem przechłali psa lub zgubili po pijaku. Ciekawe co tam teraz u Matyldy? Mam nadzieję, że ma się dobrze.

Największą z nich sunię nazwaliśmy po tacie „Miśka”. Wzięła ją Hogata. Początkowo chciała mi ją oddać z powrotem, bo twierdziła, że jest zbyt mało odpowiedzialna i zbyt hulaszcze życie prowadzi, lecz w końcu pokochała tak szczenię, że o oddaniu nie było już mowy. I dobrze, bo przynajmniej jeden szczeniak został na skłocie, przez co ja mogłem ją często widywać, a Papryka wychowywać. Dla Agnieszki było to też dobre, bo stała się bardziej odpowiedzialna i miała wreszcie kogo kochać i dla kogo żyć. Była bardzo dobrą opiekunką. Nawet, gdy sama nie miała, co jeść, Miście nigdy nie brakowało. Z wiekiem Miśka stała się bardzo agresywna. Nie wiem, po kim to odziedziczyła. Misiek przecież był taki spokojny, Papryka też raczej bez powodu się nie rzucała, a córki nie idzie odciągnąć. Może to brak dyscypliny i skutek wychowywania przez matkę tak na nią wpływa. Przecież ich ulubioną zabawą jest walka i to walka tak zaciekle, w której Miśka się tak rzuca na Paprykę z taką zjadłością, że nawet matka jest w szoku i musi ją nieźle skarcić, by przywrócić ją do porządku³. Mimo wszystko Miśka to wspaniała sunia. Może to i dobrze, że Papryka uczy ją agresji. Matka wie najlepiej, co jest dobre dla córki. Miśka to kochana wnusia.

³ Gdy Miśka wyrosła, stała się dużo bardziej spokojna, choć tak jak jej matka, gdy trzeba potrafi być nadal groźna.

STRASZNA PODRÓŻ

...Poszedłem, więc tak jak wytłumaczył mi „Dziadek”. Mimo, że objaśniał mi drogę dwa razy to cały czas obawiałem się, iż mogłem ją pomylić. Tym bardziej, że była ona skomplikowana, a i opis nie był najdokładniejszy. Przechodząc przez wieś licząc kilka domów i dwie piaszczyste drogi minąłem kobietę z niemowlęciem w wózku. Jak to zazwyczaj bywa w tak małych miejscowościach, zmierzyła mnie spojrzeniem mogącym wyrażać tylko jedno: „Po co tu przyszedłeś? Nie jesteś tu potrzebny”. Na me uprzejme „dzień dobry” odpowiedziała chyba jedynie z poczucia dobrze wychowanej kultury. Od razu potem sobie pomyślałem: „Przecież to całkiem prawdopodobne, że pierwsze, co zaraz zrobi, to zadzwoni na straż graniczną, by powiadomić, że mnie widziała. Przecież jak mieszkają tak blisko, to na pewno mają jakieś układy z tymi skurwielami. Wcale bym się nie zdziwił gdyby okazało się, że to żona któregoś z nich. Niemalże czułem na plecach wzrok z tych na pozór cichych, niemalże pustych domów. Szedłem prawie, że na otwartym terenie. Przez lornetkę można by mnie zobaczyć pewnie z kilku kilometrów. Gdy tylko wyszedłem z wioski minął mnie maluch z dwoma gośćmi. „To na pewno ci, którzy wracają ze zmiany. Na pewno mnie zatrzymają” – przemknęło mi przez głowę. Pomimo całego strachu, jaki mnie ogarnął z całych sił starałem się wyglądać naturalnie, jak bez troski turysta, który zgubił drogę. Jakbym tylko mógł już dawno bym się wycofał z tej niebezpiecznej podróży, jednak mimo wszystko musiałem iść naprzód. Gdy tylko mnie minęli odetchnąłem z ulgą. Doszedłem do końca drogi, a tu do kurwy nie ma żadnej rzeki. „Coś się pokićkało staremu dziadowi” –myślę w panice. Idę jednak dalej wzdłuż krzaków by nie wzbudzać podejrzeń. „Jakich i czyich?” – zapytanie. Byłem jak zwierzyna łowna, która wszędzie czuje zagrożenie, która na plecach czuje śledzący wzrok, która z przerażeniem wysłuchuje strzału, którego obawia się w każdej chwili.

„Zaraz, zaraz” – spostrzegam, że krzaki ciągną się wzdłuż jednej linii. „To musi być rzeka” – myślę z nadzieją delikatnie przedzierając się przez zarośla. Brzeg był tak urwisty i zarośnięty, że mało, co nie wpadłem do wody. „Oj, oj, tędy nie zejść. Narobiłbym takiego plusku, że zestrzeliliby mnie jak kaczkę... no, może tylko złapali”.

Szybko jak tylko mogłem przebrnąłem przez nie więcej niż na 10 metrów szeroką Nysę Łużycką. Brzeg po drugiej stronie był także urwisty. Użyłem wszystkich sił, by na niego wskoczyć, bo w takich chwilach nie ma czasu na powtarzanie. Wszystko starałem się robić na 100% albo nawet więcej. Myśli o zmęczeniu wtedy się już nie liczyły. „No to już jestem w Niemczech” –pomyślałem będąc na drugim brzegu. Przed oczami ukazało mi się pole ziemniaków, a za nim las. Pomknąłem przez nie jak najszybciej tylko mogłem. „Kur..., jeśli dziadek kitował zestrzelą mnie jak kaczkę” – myślałem biegnąc. Niemalże czułem na sobie wzrok snajpera, który we mnie mierzy. Niemalże już słyszałem jak krzyczy:

– Stój, bo strzelam!!!

Co wtedy bym zrobił??? Ani wówczas ani teraz nie potrafię sobie odpowiedzieć na to pytanie. Tyle się znamy ile przeżyliśmy. Udało mi się wbiec do lasu. Przebiegłem kawałek niczym Indianin schylony i uważający na patyki, by ich trzask nie zwrócił niczyjej uwagi. Jednocześnie poruszałem się szybko jak strzała. Gdy przebiegłem tyle by, choć trochę być pewny, że nikt mnie nie goni, schowałem się w krzakach i szybko ubrałem się, by mniej rzucać się w oczy. Biegnąc i tak zwracałem na siebie zbyt dużo uwagi. Jednak im szybciej i dalej oddalałem się od granicy, tym bezpieczniej się czułem. Wraz z Polską oddalałem od siebie podejrzenia o „przestępstwo”, które

popelnilem. Przebiegłem przez las i mym oczom ukazała się autostrada ogrodzona metalową siatką. Nigdzie nie widziałem żadnego przejścia. „Kur...! Dziadek nic mi o tym nie mówił. A jeśli ta siatka to granica i tak naprawdę jestem jeszcze w Polsce??” – pomyślałem panicznie, nie widząc nigdzie przejścia. „Może będzie gdzieś pod tym wiaduktem” – pomyślałem z nadzieją i udałem się tam już nie biegiem, lecz spokojnym nie za szybkim krokiem. Byłem już tak daleko od rzeki, że tym bardziej, jeśli nie miała się okazać granicą, że mogłem już uchodzić za spacerowicza. Jeśli jednak o zgrozo ta siatka okazała się granicą...

...wolałem nawet o tym nie myśleć. Podchodzę z nadzieją do pierwszej furtki, z obawą, że mnie prąd pokopie albo włączy się jakiś alarm łapie za kłamkę i...

„Kur...! Zamknięte, ale... Zaraz, zaraz ta siatka wcale mi nie wygląda na graniczną” – dostrzegłem po raz kolejny światełko w tunelu. Żadnych oznaczeń, nie pod prądem, bez drutu kolczastego, a do tego jakaś cienka. Podeszedłem do drugiego przejścia...

...Kamień mi spadł z serca otwierając furtkę. Wszedłem po schodkach na autostradę. Z jednej strony zobaczyłem sznur samochodów czekających na odprawę graniczną do Polski, zaś z drugiej strony nie zobaczyłem żadnego miasta Forst, o którym mówił Dziadek. Jedynie parę domków gdzieś tam za autostradą. Zszedłem z wiaduktu i udałem się w ich kierunku. Łapanie stopa w tym miejscu byłoby zbyt ryzykowne. Tak, więc szedłem po czyichś nie ogrodzonych sadach, nieopodal domostw. Pod jedną gruszą znalazłem parę owoców, które mimo ciepkości, choć trochę napelniły mój żołądek. Wątpię czy ktokolwiek chciałby ich użyć chociażby do kompotu. Jednak dla mnie były wówczas miłym znaleziskiem. Po jakiś dziesięciu minutach spaceru, pojedyncze domy zaczęły się zagęszczać i pojawiła się szosa. Znaczy się dotarłem do wioski. Nie czułem się tu pewnie. Gdy zobaczyłem pierwszego człowieka, w pierwszej chwili pomyślałem by się ukryć, uciekać gdzieś, nie dać się zobaczyć. Opanowałem się jednak i z największym spokojem i luzactwem, na jaki było mnie stać minąłem go w odległości dziesięciu metrów. Modliłem się w duchu, by się przypadkiem nie odezwał jak to ludzie na wsiach mają w zwyczaju. Mój akcent pewnie mógł zdradzić skąd pochodzę nawet przy zwykłym „Guten Tag”. Na szczęście był tak zajęty swoim samochodem, że nawet może mnie nie zauważył. Gdy tylko zobaczyłem drogę do lasu skrzyłem w nią. Drzewa w lesie były jakby sadzone od linii. Wszystkie w takiej samej odległości od siebie. Niemiecka dokładność dała o sobie znać.

Miałem nadzieję, że ma orientacja mnie nie zawieść. Udałem się w kierunku przeciwnym niż granica i też by zbliżyć się do autostrady. Tak przynajmniej mi się wydawało. Na początku unikałem dróg, a nawet ścieżek, lecz gdy zorientowałem się, iż w lesie nie widać ani żywej duszy, zacząłem iść leśnymi drogami, co było ulgą dla mych zbolących nóg. Co prawda gdzieniegdzie były zbyt piaszczyste i ciężkie do przebycia, ale musiałem iść naprzód. W pewnym momencie usłyszałem z dala szum, który mógł pochodzić tylko od samochodów na autostradzie. Zaczęłem podążać za tym głosem i wkrótce szum przerodził się w hałas pojedynczych aut, a moje domysły zamieniły się w rzeczywistość autostradę przed moimi oczyma. Nadal dzieliła mnie od niej siatka, lecz już wiedziałem, że nie ma nic wspólnego z granicą i jak będę musiał to ją też pokonam. Okazało się jednak, że co jakąś odległość jest w niej furtka, która spełnia rolę wyjścia ewakuacyjnego. Gdy w końcu dotarłem na autostradę, od razu zacząłem zatrzymywać samochody. Autostrada od horyzontu do horyzontu była prosta jak od linii. Żadnego, nawet najmniejszego zakrętu. Szedłem na poboczu i

machalem do przejeżdżających z zawrotną prędkością samochodów. Mijały mnie co chwila, lecz żaden z kierowców nawet nie zwolnił na mój widok. Może ich najnowsze samochody były zbyt szybkie, by zauważać z nich ludzi. „Skurczysyny” – myślałem. Wkurzenie moje jeszcze zwiększał fakt, że nie czułem się tu bezpiecznie. Z daleka obserwowałem każde auto z obawą, że będzie z policji granicznej. Prawdopodobieństwo, że w którymś samochodzie może siedzieć jakiś faszystowski kapuś wcale nie dodawało mi odwagi. Ten stres i bezskuteczność mego łapania złożyły się na to, iż szedłem z autostrady z postanowieniem, że dojdę może, chociaż do pierwszego zakrętu (może gdzieś tam za horyzontem) lub to tego miasta Forst, które miało być tak blisko, a nie mogłem tam trafić. Wyczerpany z sił szedłem przez las rozmyślając: „Nie spałem już prawie dwie doby, jestem głodny, zmęczony. Jeśli po takim wysiłku by mnie złapali, chyba by mnie rozwalili psychicznie. Boże. Proszę nie dopuść do tego, bo wycierpieliśmy się już tak bardzo” – modliłem się w duchu. Zaczęło się już nieźle ściemniać, a zakrętu nie było nawet widać. „Przeszedłem już wystarczająco daleko” – pomyślałem. „Muszę zaryzykować, bo nie wiadomo ile jeszcze mogę tak iść” – postanowiłem wchodzić z powrotem na asfalt. Znowu machalem bez żadnego skutku. Czasami robiłem to ze łzami w oczach, bo wyczerpanie psychiczne i fizyczne powoli zaczęło mnie przerastać. Najchętniej położyłbym się spać gdzieś w lesie, lecz wiedziałem, że nie mogę. Moje dziecko było w obcym kraju, bez rodziców i bez domu. Jak najszybciej musiałem do niego dotrzeć, by mu pomóc. Na upragniony odpoczynek nie mogłem sobie jeszcze pozwolić.

Doznając obojętności tych wszystkich kierowców, którzy mnie mijali, zacząłem ich prawie nienawidzić. „Co za egoistyczni skurwiele. Złożę się, że gdybym pokazywał im „fuck you”, to szybciej by się zatrzymali. W dzisiejszych czasach ludzie może bardziej wolą komuś wpięprzyć niż zrobić komuś przysługę taką jak podwiezienie.

Po paru godzinach cieszył mnie jedynie fakt, że nie zatrzymała mnie policja. W końcu, spośród niezliczonej liczby aut, które bezdusznie mnie minęły, trafił się ten wybaciciel, który pierwszy się zatrzymał. Pobiegiem do niego najszybciej jak tylko mogłem z obawą, by się nie zdążył rozmyślić. Otwarłem drzwi i zapytałem po niemiecku:

- Dzień dobry. Czy jedzie pan może w kierunku Berlina?
- Nie, ale jadę do Cottbus?
- Ale chyba będę mógł złapać stamtąd jakiś pociąg do Berlina?
- O tej porze, to nie wiem czy na pewno, ale za dnia to jeżdżą prawie, co godzinę.
- O tej porze to i żaden z samochodów się nie chce zatrzymać. Szczególnie na tej trasie. Może zbyt szybko jadą, by mnie zauważyć.
- Na autostradzie w ogóle nie można się zatrzymywać. Jedynie, gdy się samochód zepsuje.
- Tak, lecz kto ma się zatrzymać, to i tak się zatrzyma.
- Też prawda - potwierdził Niemiec. Rozmawialiśmy tak przez chwilę, jak to zwykle na stopa, by podtrzymywać rozmowę, po czym kierowca włączył radio i przestał do mnie gadać, bo być może zauważył, że jestem zbyt zmęczony, by dalej gadać. Z uprzejmości próbowałem nie zasnąć, lecz po prawie 40 godzinach bez snu nie jest to łatwe. Powtarzający się obraz mijanych samochodów, lamp i innych obiektów, działał na mnie bardzo usypiająco. W pewnym momencie wszystko zaczęło się rozmywać i zlewać ze sobą. Ta faza zmęczenia nawet mi się podobała. Jedynie co, to powieki stawały mi się coraz cięższe i coraz trudniej mi było je otwierać aż w końcu...

- Chcesz wysiąść koło stacji? – obudziło mnie głośne pytanie.
- Że, co? – odpowiedziałem półprzytomny po polsku.
- Jak chcesz iść na pociąg, to tam na wprost masz peron.
- OK. Wielkie dzięki. Mam nadzieję, że następnym razem będę mógł się odwdziżyć – powiedziałem mój stały tekst wychodząc z samochodu.
- Ha ha! Do widzenia!
- Do widzenia – pożegnałem się z moim wybawcą i ruszyłem w dalszą drogę.

PIERWSZE SKŁOTOWANIE W AMSTERDAMIE

My mimo wszystko nie chcieliśmy nic odkładać na później i niczym niezrażeni przystąpiliśmy do dzieła.

- Nie po to przynieśliśmy tą drabinę, żeby teraz to odwlekać – stwierdził rzeczowo Jarek.

- My chcielibyśmy to już dzisiaj zrobić – stwierdziłem zdecydowany, a Janka dodała:

- Ci z Heren Grachtu cały czas nam przypominają byśmy coś zaskłotowali.
 - No to zróbmy to – stwierdziła Agata i przystąpiliśmy do dzieła. Wynieśliśmy drabinę, stawiamy ją pod balkony i niestety...

- Za krótka – stwierdza Jarek.

- Brakuje jakieś 2 metry – wymierzyłem na oko.

- Trzeba coś pod to podstawić.

- Może lodówkę? – wymyśliła Agata.

- No to wstawiamy – powiedział Lucek i wraz z nim, Szurtem oraz Jarkiem podnieśliśmy lodówkę i ku mojemu zaskoczeniu wszyscy zaczęli ją przechylać.

- Poczekajcie przez to, że ją przechylimy zepsuje się. Lodówek nie można kłaść poziomo – zauważyłem szybko, zanim jeszcze jej nie przechylili.

- Nie zepsuje się, bo już jest zepsuta – poinformował mnie Lucek, więc przenieśliśmy lodówkę i położyliśmy ją poziomo. Postawiliśmy drabinę i...

- Za krótka – stwierdza Jarek.

- No, jeszcze jakieś pół metra – wymierzyłem na oko.

- Trzeba pod lodówkę podstawić palety – wymyśliła Agata, po czym zaczęliśmy znosić i podkładać wszystkie palety pod lodówkę. Gdy popodkładaliśmy wszystkie, znów postawiliśmy drabinę.

- Teraz może starczy – stwierdził Jarek.

- To, kto wchodzi, by otworzyć drzwi pozostałym – zapytałem z obawą, by nie wypadło na mnie i z nadzieją, że ktoś zgłosi się na ochotnika. Wszyscy popatrzyliśmy na drabinę, oceniliśmy sytuację, popatrzyliśmy się na siebie i...

- Ja wejść – zdecydował się Jarek, a ja odetchnąłem z ulgą, bo sam bałem się trochę już wejść na tą drabinę, a co dopiero na wysokości 3-go piętra wdrapać się z niej na nieznaną, a więc przez to niepewny balkon. Szwagier zaczął wchodzić.

- Tylko mocno trzymajcie drabinę.

Jarka uwaga była zbyt uczciwa, bo już trzymaliśmy ją naprawdę mocno. Szwagier powoli, stopień za stopniem piał się do góry. Gdy wszedł, sięgnął do góry ręką... i zabrakowało mu mniej niż pół metra.

- W razie, czego, to mnie łapie – zażartował i wszedł stopień wyżej.

- Jeju! Jarek uważaj! – zaniepokoiła się Halina.

- O Boże! A jak spadnie? – zaczęła się denerwować Janka.

- Wasze panikowanie w niczym mu nie pomoże - starałem się uciszyć dziewczyny.

- Ja to nie mogę się na to patrzeć - stwierdziła Janka i weszła do domu. Wszyscy się trochę denerwowaliśmy. Jedno małe zachwianie równowagi Jarka i gościa spada. Nie miałby się nawet, czego chwycić, bo jego tułów znajdował się powyżej drabiny. Przez głowę przemknęła mi myśl: „Boże, proszę Cię niech tylko nie spadnie, bo wtedy to będzie tragedia”. Wolałem nawet o tym nie myśleć. Jarek tymczasem z największą ostrożnością, wyciągał się najwyżej jak tylko mógł. Niebezpiecznie stawał na palcach i raz za razem wyciągał rękę.

- Nie dam rady - w końcu zrezygnował i zszedł z powrotem na dół. - Brakowało mi dosłownie 2 cm, dosłownie tyści, tyści.

- Trzeba coś wymyślić.

- Ćśśśśiiti, starajcie się nie mówić po polsku, a jak już musicie to dużo ciszej - słusznie przypomniał Lucek, bo przez natłok wydarzeń wszyscy już o tym zapomnieliśmy.

- Trzeba coś wymyślić - powtórzyłem niemal szeptem.

- Ja spróbuje, może mi się uda - zaofiarował się Lucek.

- No, ty jesteś trochę więcej niż 2 cm wyższy od Jarka - zauważyła Agata.

- Tylko uważaj na siebie - dodałem w trosce.

- To trzymajcie mocno, żebym nie spadł - powiedział Lucek i zaczął wchodzić. Powoli wszedł tam gdzie Jarek, wyciągnął się, stanął na palcach i jakoś udało mu się dosięgnąć balkonowych barierki, których od razu się też złapał. Jednocześnie podciągnął się na nich i wybił się nogami z drabiny. Wtem usłyszeliśmy trzask łamanej deski, a Lucek, będący już prawie całym tułowiem na balkonie bardzo niebezpiecznie się zachwiał i usłyszeliśmy tylko krótkie:

- Kur...!

Wtedy chyba wszystkim na dole zaparło dech w piersiach. W momencie, gdy pękła poręcz, wszyscy byliśmy pewni, iż Lucek spadnie. Uratował go jego spryt. Gdyby podciągając się, nie wybił się nogami niechybnie by spadł. Siła wyskoku spowodowała, że poleciał do góry, mimo, że deska, której zaufał nie wytrzymała i pękła. Sekundę leżał swą górną połową na balkonie, podczas, gdy nogi mu zwisały. Potem podciągnął najpierw jedną nogę, podparł się rękoma i wskoczył na nich drugą nogą. Był już na balkonie. Dzięki Bogu udało mu się, bo było już naprawdę groźnie. Z kopniaka próbował otworzyć balkon, przy czym wybił szybę, przez którą potem wsadził rękę i otworzył drzwi od środka. Gdy wszedł do wewnątrz, wszyscy wzięliśmy rzeczy prawnie potrzebne do skłotowania i szybko i sprawnie zaczęliśmy je wnosić na górę. Były to materac, krzesła oraz stół. Bez tych rzeczy gliniarze mogliby się przyczepić o to, że chcieliśmy się włamać, a nie mieszkąć. Według holenderskiego prawa, które zezwala na skłoting ten zestaw podstawowych mebli jest dowodem na to, iż naszym zamiarem jest zająć miejsce, a nie je okraść. Co prawda i tak w pewnym sensie zaskłotowaliśmy te mieszkanie nielegalnie. Nie było ono puste rok czasu, (czego również wymaga holenderskie prawo). W związku, z czym nie mieliśmy też kadastra-dokumentu mniej więcej mówiącego o tym. Nie zaprosiliśmy też tych powodów policji, by sprawdziła i spisała protokół o tym, że wszystko zrobiliśmy poprawnie. Kierowaliśmy się zasadą: „Jeśli niemożliwe jest byś coś zrobił dokładnie tak jak trzeba, zrób to, chociaż najlepiej jak tylko potrafisz”. Im mniej rzeczy, do których bastardy mogą się przyczepić tym lepiej.

- No to macie fajne mieszkanko na miesiąc, może dwa - powiedział Lucek, otwierając nam drzwi.

- Oby dłużej - dodałem.

- Kto wie? Może na dłużej - powiedziała z nadzieją Agata. Gdy weszliśmy do mieszkania naszym oczom ukazał się piękny widok. Na podłodze wykładziny, łazienka z prysznicem w białych eleganckich kafelkach, kuchnia ze zlewem, niczego sobie, dwa pokoje, jeden duży, okna z jednej strony na ulicę, a z drugiej na podwórkę Agaty i sąsiadujące błotko kamienice. Jednym słowem - REWELACJA. Spełniło się w końcu nasze marzenie. Mieliliśmy swój mały skłot. Nasze szczęście nie miało granic.

- Wielkie dzięki Lucek i Wy wszyscy. Bardzo nam pomogliście.

- Jak my się Wam teraz odwdzięczymy? - dziękowaliśmy jeden przez drugą.

- To jeszcze nie koniec. Trzeba teraz wstawić zamek i wszystko sprawdzić - stwierdził Lucek i wziął się za montowanie zamka, który nam wcześniej sprzedał na krechę po koleżeńskie cenie 12 guli. Gdy my mało co nie posiadaliśmy się z zachwytu Szurt fachowo sprawdził po kolei wszystkie wygodę i co chwilę nas informował o nowych odkryciach:

- Woda jest, jest też terma⁴ i jak z gazem wszystko w porządku to będziecie mieli też ciepłą wodę.

Co prawda niewiele wówczas rozumiałem angielski, lecz na szczęście wiedziałem, o co Szurtowi chodzi i jakoś się dogadywaliśmy? By był prąd wystarczyło wkręcić tylko korki. Z tego wszystkiego zapomnieliśmy przynieść jakiekolwiek urządzenie, by sprawdzić elektryczność. Na szczęście poprzedni właściciele zostawili nam żarówki. Wkrótce Szurt podłączył nam gaz do termy, wytłumaczył mi jak ona działa oraz pokazał gdzie podłączyć kuchenkę jak ją tylko zdobędziemy.

- Taką małą kuchenkę, bez piekarnika mogę Wam pożyczyć - zaofiarowała się od razu Agata.

- Dzięki. W końcu będziemy mogli sobie jakoś normalnie gotować - podziękowała Janka.

- Tylko tam jeden palnik nie działa.

- Nic nie szkodzi. Trzy nam wystarczą.

- No, to skoro już zrobiliśmy najważniejsze, to może by, choć trochę się Wam odwdzięczyć może zrobimy małą parapetówkę. Co Wy na to? - zaproponowałem.

- Ja to muszę za dwie godziny spadać, ale piwka to się z chęcią napiję - powiedział Lucek.

- No i zapalimy nieco.

- Pewnie trzeba opalić nową chałupę - podchwycił me słowa Jarecki.

- Szurt, pijesz piwo?

- Tak, oczywiście.

- A palisz marihuanę?

- No pewnie!

- O.K. moment - nawet zbytnie pytałem - to, co Jarek ty polecisz po materiał, a ja skoczę po piwo?

- Dobra.

- Griks, wiesz, że nie mamy pieniędzy - cicho zwróciła uwagę Janka.

⁴ Bardzo często stosowane w Amsterdamie urządzenie, które palącym się gazem ogrzewa wodę w rurach.

- Jańciu, ale mamy w końcu mieszkanie. Przecież to dzięki pomocy tych ludzi. Jakże moglibyśmy się im nie odwzajemnić?

- Masz rację – przytaknęła mi i już głośno powiedziała – to leć po to piwo.

Impreza była raczej symboliczna. Każdy miał coś tam zaplanowane dzisiaj. Mi też pasowałoby w tym dniu wyjść pod wieczór pozagrabiać trochę graniem. Mimo wszystko było miło i sympatycznie. Lucek pożyczył nam magnetofon do momentu jak nie znajdziemy sobie własnego. Włączyliśmy muzyczkę, piliśmy piwo, Lucek skręcił džointa, gadaliśmy o tym i o owym. Agata barwnie i zajmująco jak to tylko ona potrafi opowiadała nam o innych skłotowaniach. My zaś raz po raz przeżywaliśmy jak to się urządzimy na nowych włosciach, co musimy jeszcze zrobić, co skołować i jak to wspaniale, że w końcu mamy własny dom. Ze względu na Szurta część rozmowy prowadzona była oczywiście po angielsku, więc za dużo nie rozumiałem, a Jarek z Haliną tym bardziej. Posiedzieliśmy tak ze 2-3 godziny i część z nas rozeszła się do własnych spraw. Ja też poszedłem grać na gitarze. Imprezka, co prawda była krótka, ale za to przyjemna.

HOLENDERSKI PAŃSTWOWY RASIZM

Rano obudził nas jakiś hałas na ulicy. Zaspani z Janką wyrzeliśmy przez okno. Na ulicy stał biały bus z włączonym pomarańczowym kogutem. Myśląc, że to jacyś robotnicy zignorowaliśmy to i dalej poszliśmy spać. Po jakimś czasie znów obudziły nas hałasy. Wyrzałem przez okno i ujrzałem z dwóch stron zaskłotowanej Tolstraat nadjeżdżające suki gliniarzy. Wówczas dopiero skojarzyłem biały samochód z wozem (nie)sprawiedliwości. Janka z rozpaczą i strachem zaczęła panikować – Griks! Ewijken! Co teraz będzie?! Ja zaś wystawiłem głowę przez okno i najgłośniejsz jak tylko potrafiłem zacząłem gwizdać na palcu, by ostrzec i obudzić innych. Potem szybko znalazłem kartkę od Mause i napisałem numer telefonu do adwokata na ręce Jance, a potem ona na mojej.

- Boże, co my teraz zrobimy? – moja żona panikowała dalej aż w końcu się na nią wydarłem.

- Janka uspokój się!!! Nie panikuj, jeśli będziesz panikować, ja też zacznę się denerwować, a potem Nea może zacząć płakać, a jeszcze tylko tego nam brakowało. Spokojnie, nerwy nam nic nie dadzą, a tylko zaszkożdzą – tłumaczyłem już spokojniej, bo było mi głupio, że sam dałem się ponieść emocjom i krzyknąłem na moją ukochaną.

- To, co my mamy robić? – zapytała.

- Pakuj wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy, a ja zaraz przyjdę. Zamaskowałem szalikiem twarz i wyrzałem przez okno na klatce. Pierwsi „skłotersi” oczywiście technowcy, grzecznie i bez oporu opuścili swe domy. Dla nich wakacje się już skończyły. Teraz pewnie wrócą do swoich krajów. Splunąłem z pogardą na jednego z nich, lecz chyba tego nie zauważył. Poszedłem szybko do Mocja. On też niedawno wstał i też już się chyba pakował.

- Trzeba sprawdzić, czy drzwi są zabarykadowane.

- Powinny być – stwierdziłem, ale na wszelki wypadek zeszliśmy na dół i sprawdziliśmy, że były zastawione. Po drodze zapukaliśmy do Walca, by go ostrzec. Otworzył nam zaspany i w samych majtkach.

- Mamę ewijkę.

- No zdążyłem zauważyć – powiedział zmartwiony.

Wróciłem by pomagać Jance się pakować. Nea obudzona już na samym początku patrzyła zdziwiona nie rozumiejąc, co się dzieje. To dobrze, pewnie gdyby wiedziała o wszystkim na pewno by płakała, a tak przynajmniej z tym mieliśmy spokój. Zadzwoniłem do Milana i powiedziałem mu o nieszczęściu. Poprosiłem go, by jeśli może niech skołuje od swojego szefa samochód, a jak nie to niech zadzwoni do Rene i poprosi jego. Jakby już coś wiedział miał oddzwonić, dlatego schowałem komórkę do bluzy z kapturem. Potem zacząłem zrywać zdjęcia ze ściany, myśląc: „kurczę, takie miejsce; tak bardzo chciałem i wierzyłem w to, że zostanie. Tak wielką miałem nadzieję. Tylu przyjaciół, tylu znajomych, tyle działań, takie plany. Wszystko tu szło w dobrym kierunku, rozwijało się, a teraz – wszystko stracone. Przez pieprzonych bastardów i pieprzony rząd. Nienawidzę tego, co robią”.

- A co z łóżeczkiem? – zapytała Janka.
- Zaraz je wypieprzę przez okno.
- Nie rób tego, zaaresztują cię
- Niech wszyscy się dowiedzą, że wyrzucają rodziny z dziećmi.
- To łóżeczko było Milana.
- Co poradzisz. Nie damy rady wziąć wszystkiego. Milan to zrozumie.

Tyle rzeczy musieliśmy zostawić. Tyle kwiatów, które tak ładnie rosły, tyle rzeczy, które nazbieraliśmy, wieżę z kolumnami, która tak dobrze grała, jedzenie, meble i mieszkanie, które tak dobrze nam służyło, z którego byliśmy dumni i do którego już zdążyliśmy się przywiązać. Usłyszeliśmy jak ktoś kopie w drzwi na klatce. Wyrząłem przez okno. Gliniarza już nie było. Kontener, który od razu przyjechał, z bastardami, wznosił ekipę kilku z nich na dach. Pobieglem na dół by sprawdzić, czy gliniarzowi przypadkiem się nie udało wdrzeć i co zobaczyłem: odbarykadowane drzwi. Tylko fart i wytrzymałość zamka ratowała nas przed tym, że nie mieliśmy go w środku. Kurde błąd! Zrobiliśmy tą barykadę z Kaskiem specjalnie w ten sposób, by można ją zamknąć wychodząc na zewnątrz. Umawialiśmy się ze wszystkimi, że razem opuścimy budynek i zostawimy go zabarykadowanego. Któryś z tych frajerów, Walec lub Mojec, wiedząc, że jeszcze jesteśmy w środku, zostawił prawie otwarte drzwi, ułatwiając tym wejście gliniarzom i zaskoczenie nas. Polecałem sprawdzić, czy może, któryś z nich został, lecz nie było ich, zostaliśmy sami. Janka zapytała się mnie:

- Gdzie jeszcze lecis? Nie zostawiaj mnie samej.
- Skarbie muszę wzmocnić z Mojcem barykadę na górze. Wtedy zyskamy na czasie.

Oklamałem ją trochę, by się nie martwiła. Pobieglem na górę i z trudem zastawiłem pralką cienko zabite drzwi. Dla wzmocnienia ledwo, co udało mi się tam postawić kolejne dwoje drzwi. Przeszkadzały mi w tym zahaczające się sznury na bieliznę. Trochę się pomęczyłem, namordowałem i ostro powkurzałem i w końcu się udało. Barykada była w miarę zrobiona. Zszedłem na dół do Janki i dalej się pakowaliśmy. Gdy stwierdziłem, że zabawek niestety nie możemy zabrać, zaniósłem całe pudło do okna. Janka próbowała mnie powstrzymywać

- Nie rób tego, oni Cię zaaresztują!!!
- Świat musi się dowiedzieć, że wyrzucają matki z dziećmi – po czym rozsypałem na ulicy całe pudło zabawek, strasząc tym nieco bastardów. Przy tym zapytałem krzycząc po angielsku:
- Gdzie teraz będą mieszkaly nasz dzieci?!!

Zaraz potem wyrzuciłem pluszowego słonia, którego wcześniej miałem zamiar powiesić przed oknem. Gliniarze zareagowali na to ironicznym aplauzem i chuj im w

dupę. Pewnie niektórzy też mają dzieci. Ciekawe czy w jakiś sposób ich gryzie sumienie. Pewnie nie, bo jakie sumienie może mieć automat. Chyba, że do wykonywania przepisów. Potem dalej kontynuowaliśmy pakowanie. Robiliśmy to szybko i w miarę sprawnie. Po jakimś czasie usłyszeliśmy od góry jakiś hałas.

- O Boże, co to?! - zapytała z przerażeniem Janka.

- Chyba się wdarli.

- No, co ty?! Może to Mojec?

- Nie sądzę. Bądź spokojna. Wyjdę do nich naprzeciw.

- Nie zostawiaj nas.

- Skarbeczku! Zaraz wrócę - i wyszedłem szybko kierując się na górę. Z góry naprzeciw mnie zobaczyłem schodzącego gliniarza M-1, a za nim następnego. Kaski na głowach, opancerzone granatowe kombinezony, długie pały i dwie okrągłe tarcze. Pierwszy z nich niósł piłę elektryczną, co wyjaśniało ich wdarcie się na klatkę. Z tą maszyną moja barykada była tylko kwestią czasu. Jednak właśnie na czasie mi wówczas zależało. Gdy tylko ich zobaczyłem wykrzyknąłem:

- Tylko bez gazu tu jest dziecko!

- Dobrze. Jeśli nie będziecie stawiać oporu wszystko będzie spokojnie - jakiegokolwiek opieranie się nie miało sensu.

- Czy tylko wy tu jesteście?

- Tak, nie zdążyliśmy się spakować.

- Musimy sprawdzić wasze mieszkanie - po czym wyszedł. Od wejścia rzuciła się na niego Papryka.

- Weź tego psa, bo go zastrzelę - skurwiel zaczął krzyczeć. Uspokoiłem Paprykę i na wszelki wypadek założyłem jej kaganiec.

- Czy możemy się spakować?

- Dobrze, ale szybko - i zaczęliśmy kończyć pakowanie. Wrzucaliśmy, co popadnie omijając te rzeczy, co nie są nam potrzebne, lub te, co nie mogliśmy wziąć. Musieliśmy zostawić trzy maszyny do pisania, naszą wieżę stereo z 4-ma kolumnami oraz kupę gratów, ubrań i innych rzeczy, które chciałem komuś oddać, sprzedać lub zamienić się. Miałem to wynieść do darmowego second handu zrobionego na Overtoomie. Niestety nie zdążyłem się pozbyć tych moich wystawkowych zbiorów. W międzyczasie migowo zawołałem Jankę do łazienki i cicho jej powiedziałem:

- Najlepiej nic przy nich nie mów. Jeśli coś będziesz chciała powiedzieć to po angielsku, a najlepiej przyjdź tutaj.

- Dobrze. Przecież nic nie mówię - po czym wyszliśmy z łazienki. Papryka dalej mimo kagańca szczełała na bastardów. Trochę ją uspokoiłem. W miarę szybko uwinęliśmy się z robotą. Na początku znieśliśmy Nęę, wózek i najważniejsze rzeczy, potem wróciłem. Rozejrzałem się ostatni raz po mieszkaniu, sprawdzając czy niczego ważnego nie zapomnieliśmy i poganiany przez gliniarza zszedłem na dół znosząc ostatnie torby. Gdy byłem na dole i zobaczyłem tą masę toreb i plecaków zacząłem się zastanawiać jak my się zabierzemy z tym wszystkim. Zacząłem wszystko ładować na wózek. Wysypały mi się przy tym szablony. Zacząłem je pospiesznie zbierać, by nie zobaczyli ich gliniarze. Chcieliśmy jak najszybciej opuścić to miejsce. Ze zdenerwowania zapomniałem się i zacząłem Janci mówić po polsku, co gdzie załadować. Jak teraz o tym myślę to przeklinam się: „Jak można było być tak głupim?”. Lecz wtedy, byłem tak zdenerwowany, tak zrozpaczony, że zapomniałem się i swą mową zdradziłem się, że nie jestem Holendrem. Swój błąd zrozumiałem

dopiero wówczas, gdy jeden z tajniaków podszedł do mnie i powiedział po holendersku

- Pan zdejmie ten plecak i pojedzie z nami.

Odpowiedziałem mu po angielsku:

- My już sobie idziemy, wszyscy razem. Nie zostawię swojej córki.

Widząc, że się opieram podeszli i okrążyli nas pozostali tajniacy. Widząc, co się święci w geście rozpaczyl wziąłem Neę na ręce i przytuliłem mocno Jankę. Nie miałem zamiaru ich opuszczać. Żadne ludzkie prawo nie może być ważniejsze od prawa boskiego, prawa córki do ojca, żony do męża, mojego prawa do bycia z rodziną. Widząc nasz opór tajni, bastardi (bo ci z M-1 w ogóle się tym nie zajmują) rzucili się na nas i zaczęli nas rozdzielać. Najpierw odepchnęli Jankę, a potem zaczęli mi wrywać Neę. Tak bardzo nie chciałem ich opuścić. Miałem nadzieję, że w końcu dadzą spokój szarpaninom, że jak będę trzymał Neę, to się opamiętają i nie będą pokazywać swej brutalności. Jednak oni jak automaty bezdusznie wykonywali swoje zadanie. Wrywali mi ją na oczach wszystkich, dziennikarzy i fotoreporterów, którzy jak sępy spragnieni sensacji pstrykali nam zdjęcie za zdjęciem. W sumie to dobrze niech ludzie dowiedzą się prawdy jak brutalna i nieludzka jest holenderska policja. Gdy wrywanie stało się mocniejsze Janka krzyknęła do mnie:

- Michał puść już ją - co zrobiłem z obawy, by jej nie połamali. Zaraz Janka odebrała dziecko gliniarzowi. Nea przez cały czas ewikcji, była bardziej zdziwiona niż przestraszona. Grzecznie bez płakania będąc w szoku obserwowała rozgrywające się zdarzenia. Z jednej strony to dobrze, bo nie mieliśmy z nią tak wielkiego problemu jakby płakała. Z drugiej strony, to teraz sobie myślę, że może jakby zaczęła beczeć, to wywołałaby może litość gliniarzy. Choć raczej wątpię, bo przecież te bezduszne automaty mają kamienie, a nie serca. Na pewno pokazałoby to bardziej brutalność policji i tragedię sytuacji. W sumie mogłem wywołać jej płacz wzorem pań za komuny, które wykorzystując płaczące dziecko, często pożyczone od sąsiadki sprytnie omijały ówczesne bardzo długie kolejki. By uzyskać ten efekt szczypały trzymanego na rękach malucha, by ten zaczął wyć, przez co denerwował i wywoływał współczucie u stojących w kolejce, przed, którzy chcąc ulżyć swoim uszom lub dziecku przepuszczali „mamę” na początek „ogonka”. Nie byłem jednak na tyle chamski, by krzywdzić Neę dla jakichkolwiek celów.

Gdy stałem już sam tajniacy pytali się mnie po holendersku i po angielsku:

- Skąd pochodzisz, z jakiego kraju?.

Lecz ja po tym jak zrozumiałem swój błąd, twardo milczałem i nie odzywałem się w żadnym języku. Jeden z nich zdenerwowany moją postawą krzyknął mi w twarz.

- Wróć do swojego kraju!

W kilku próbowali mnie popchać w kierunku „suki”, która miała przewieźć na komisariat, lecz stawałem opór. Próbowali pochwycić i wykręcić mi ręce, lecz umiejętnie unikałem i wrywałem im je. Gdy udało im się przepchnąć mnie o parę kroków metodą „Non violent”, (bo każda inna była bez sensu) położyłem się i zacząłem stawiać bierny opór. Wychodziło mi to na tyle skutecznie, że z trudem udało im się mnie unieść i kilka razy mało, co nie zostałem upuszczony, co wtedy w ogóle mnie nie przerażało, choć mogłem sobie coś zrobić. W czasie tej szamotaniny usłyszałem zrozpaczony krzyk Janki:

- Zostawcie go! To jest mój mąż! Kto teraz zapewni nam byt? Nie wystarczy wam, że odebraliście nam mieszkanie?!!

Gdy usłyszałem to z mojego gardła wydobył się długi i głośny krzyk rozpacz a moja szamotanina wzmogła się do tego stopnia, że kolejni tajniacy zaczęli mnie nieść, a przy okazji tak mnie powykręcali, że przy dalszym wierzganiu mogli mi połamać rękę. Nie szamotałem się już, ale wciąż wrzeszczałem:

- Aaaaaa... - kątem oka dostrzegłem wystraszoną Paprykę. Prawdopodobnie dostała od któregoś z bastardów, który wykorzystał to, że była w kagańcu. Dostrzegłem też wystający z przedniej kieszeni bluzy mój gaz, który znalazłem na wystawce. Jako, że broń ta jest zakazana w Holandii nie wykręconą ręką udało mi się wykonać ruch, który pozwolił gazowi wypaść z kieszeni. Byłem pewien, że gliniarze to zauważyli, ale na szczęście nie. Podczas szamotaniny wypadło mi też coś, co w odgłosie przypominało mi długopis lub coś plastikowego, lecz nie udało mi się odwrócić głowy by zobaczyć, co to. Przed zakratowanym busem, (nie)sprawiedliwości przystosowanym do przewozu więźniów przestałem się wydierać. Postawili mnie na nogi i spięli z tyłu ręce kajdankami i zamknęli w jednej z cel w tym samochodzie. Zza szyby zobaczyłem, że rozmawiają o czymś z Janką i coś spisują. Miałem nadzieję, że nie byli na tyle bezczelni by ją z dzieckiem też zaarrestować. Myślałem też, że moja żona nie jest na tyle głupia, by dać im swoje dane, czy powiedzieć skąd pochodzi. Próbowałem walić głową w szybę, by Jancia spojrziała na mnie, bym mógł pokazać jej swój uśmiech, lecz niestety nie usłyszała.

OBRONA KALENDERPANDEN

Tak se gadaliśmy, aż w pewnym momencie dało się słyszeć głos płynący z głośników.

- Właśnie podsluchaliśmy przez radio, że bastardy z M1 zaczęli mobilizację. Od teraz mamy jakieś 2-3 godziny na przygotowanie obrony. Wszyscy Ci, którzy muszą wrócić do swych domów niech zrobią to teraz, zaś wszystkim, którzy mogą zostać by bronić tego miejsca z góry dziękujemy. Zacznijmy budować barykady!!! - zakończył okrzykiem.

- Ho! Ho! A jednak coś będzie się działo - powiedział Mixer zacierając ręce.
- A my, niewierne Tomaszę wąpiliśmy - zaśmiałem się.
- Teraz już rozumiem, po co ten film - by zagrzewał do walki.
- A party i koncert, by przyciągnąć ludzi.
- I wszystko utrzymane w najszybszej tajemnicy, by bastardy się nie dowiedziały.
- To jest organizacja, no nie?
- No, no, no...

Wszyscy zaczęli wychodzić ze skłotu. Jedni po to by zacząć budować barykady, drudzy by powrócić do swoich domów. Tych ostatnich jednak było zdecydowanie mniej. W wirze pracy szybko trafiła mi się robota. Zacząłem wynosić specjalnie wcześniej ze sobą zespawane stemple - metalowe rury, które zespawane ze sobą, tworzyły coś na kształt gwiazdy. Z takich konstrukcji szybko powstała barykada, którą było trudno przejść, przesunąć, przeforsować czy zniszczyć. Gdy z kimś wynosiłem taką metalową konstrukcję, zobaczyłem jak jeden z nas siedzi w małej koparce. Z dziką radością w oczach rozwał on nią płytki chodnikowe oraz kostkę brukową. Potem budowano z nich barykady lub rozbijano na mniejsze kawałki, by te czekały na kupkach jako przyszła amunicja. Zastanawiało mnie skąd oni wytrasnęli taką koparkę.

To, co ujrzałem było zadziwiająco nieprawdopodobne, a jednak piękne i (/bo) rzeczywiste. Ci leniwi punkowcy, których znałem z ciągłego przesiadywania w barze i nieustannego przechylania piwa, tym razem pracowali z tak niespodziewanym u nich zapalem. Kobiety z poświęceniem nosiły ciężkie płyty chodnikowe. Każdy pracował. Tym razem nie było takich, którym się nie chciało. Każdy dokładnie wiedział, po co tutaj został. Barykady były budowane ze wszystkiego, co było pod ręką. Najczęściej były to płytki chodnikowe niszczonej ulicy, która zresztą przez swe rozkopanie też stała się przeszkodą. Mimo, że raczej nikt tego nie koordynował, robota szła całkiem sprawnie. Wiadomo było, co robić. Każdy pomysł, każda uwaga rozpatrywana była szybko przez ogół. W ten sposób płyty były podawane „murarskim sznureczkiem”. Jedni je demontowali z chodnika, drudzy podawali je sobie z rąk do rąk, a inni układali z nich coraz większe mury barykad. Robota wrzała jak w ulu. Nigdy w swoim życiu nie widziałem tak sprawnie, tak dobrze, z tak wielką energią i ochotą pracujących ludzi, a co dopiero punków. Ci ludzie są zdolni do wielu rzeczy – zależnie od sytuacji. Wszyscy czuliśmy wielką potrzebę przeciwstawienia się złu i obronienia tak ważnego miejsca dla nas. Czuło się też ducha historii. Może trochę przesadzam, lecz takie porównania podsunęły mi rozgrywające się przed oczami zdarzenie. To było prawie jak powstanie warszawskie. Budując z zapalem kolejne barykady, czułem się niczym mały Gavroche. To uczucie jedności, które wszyscy czuliśmy, było dla nas bardzo ważne. Było nas tak wielu, kocioł narodowości i języków, niby tyle różnic, a właśnie wtedy czuliśmy tak bardzo tą więź, która nas łączy niczym rodzinę. To uczucie jedności wywierało wrażenie nie tylko na mnie. Wszyscy byliśmy jak bracia. Gdy jeden niósł coś ciężkiego zaraz ktoś inny pomagał mu nie pytając. Gdy ktoś zmęczył się kopaniem, szybko zastępował go następny. Nie wyobrażam sobie by jakikolwiek system pracy mógłby być lepszy.

Oczywiście jak zwykle zdarzały się również wyjątki jak np. ten, który właśnie opiszę:

Obok jednej z barykad zobaczyłem skrzynkę elektryczną. Od razu w mej głowie zaświtał całkiem niezły pomysł. Parę kabli rzuconych luzem na tą barykadę, do tego ze dwie tabliczki ostrzegające: „Uwaga prąd” i myślę, że to wszystko zatrzymałyby gliniarzy na dłuższy czas, nawet, jeśli w przewodach nie byłoby prądu. Zanim by to sprawdzili minęłoby sporo czasu. Zresztą nie wiadomo czy w ogóle by im się to udało, jeśli my byśmy dobrze bronili barykady. Chciałbym to zobaczyć jak policyjni specjaliści od elektryki sprawdzają kable pod gradem kamieni (ha! hhhhhha!).

Z tym o to pomysłem udałem się do Wojtka, Polaka, który znał wszystkich z Kalenderpanden i który mógł szybko zdobyć potrzebne rzeczy, bo wiedział, co gdzie jest i z kim gadać w razie czego. Przedstawiłem mu pomysł, wysłuchał i rzekł po angielsku:

- To dobry pomysł, godny zrealizowania, ale ja nie mogę Ci pomóc, bo ty nie mówisz dobrze po angielsku. Znajdź grupę, która Ci w tym pomoże i zróbcie to.

Gdy to usłyszałem szlag mnie trafił. Ja rozumiem, że ktoś może bać się używać polskiego w takich miejscach, ale będąc ze mną sam na sam i w tym przypadku to już lekka paranoja. Wkurzyło mnie to niezmiernie. Jeszcze w takiej sytuacji. Rozumiem jeśliby chodziło o jakieś tam duperele, a nie o wspólną obronę. Tym bardziej, że sam potwierdził, iż idea jest dobra i warta zrealizowania. Nigdy potem już nie odezwałem się do tego bufona.

Koniec końców, mój pomysł postanowiliśmy zrealizować sami z Mixerem. Rzuciliśmy na barykadę parę kabli, które udało nam się zdobyć. Potem wsadziliśmy

końce do skrzynki elektrycznej, tak, że w sumie, to rzeczywiście wyglądały na podłączone do prądu.

Potem wzięliśmy się za ulepszanie głównej barykady, od ulicy, od której najbardziej prawdopodobne było, że z stamtąd uderzą bastardy. Powstały tam takie konstrukcje, iż razem stwierdziliśmy, że gliniarze musieliby być głupi, by właśnie je chcieć sforsować. Oprócz najeżonych zespawanych ze sobą stempli, które nosilem wcześniej, było tam też kilka, których podstawą były mury zrobione z płytek chodnikowych. Były też takie ze śmietników, śmieci i gratów. Jedna przy samym skłocie zrobiona była z zespawanych łańcuchami ze sobą beczek. Od jednej strony w ogóle nie barykadowaliśmy. Most zwodzony podniesiony przez nas do góry jakimś mechanicznym trikiem był już wystarczającą przeszkodą.

Wydarzenia biegly tak szybko jak szybko powstawały barykady.

W pewnym momencie zobaczyłem jak ludzie plądrują barakowóz należący do firmy, która miała przejąć remont Kalenderpanden. Znalezione tam całą dokumentację, która natychmiast została zniszczona. Komputery i inne sprzęty szybko rozeszły się po ludziach, a część, która została posłużyła jako „cenny” materiał na barykadę. Ja też skorzystałem z sytuacji i wzięłem sobie laserową, kolorową drukarkę, którą później zawinięta w folię, zakopaliśmy z Minerem, by po wszystkim wziąć ją z powrotem.

Jon, ten łysy wypierdolił szybę w stojącym obok biurowcu i już z kimś wszedł do środka, jednak zaraz ktoś ich opierdolił:

- Co Wy robicie?! Jeśli gliniarze kogoś zaaresztują, to mogą ich również oskarżyć o kradzież rzeczy z sąsiednich budynków. A to robi duuuuży problem. Tych biurowców nie możemy plądrować.

Kilka osób poparło jego słowa, więc Jon przestał się zniszczenie. Pewnie słusznie, choć ja już wyobrażałem sobie łupy, jaki można by stamtąd wynieść. Jednak wtedy naprawdę mogliby nas wziąć i przedstawić jako bandytów, a nie skłotersów. To zaś wcale nie byłoby dobre.

Cały czas na zewnątrz było słychać nadawane na żywo właśnie z Entrepodok radio PATAPOE. Jakiś D.J. puszczał jakieś pokręcone techno, przy czym dawał też komentarze po holendersku.

- Mogliby, chociaż teraz puścić jakiegoś punka albo inną zagrzewającą muzykę - stwierdził Mixer i tu miał rację.

W pewnym momencie muzyka całkiem ucichła i przez głośniki dało się słyszeć głos mówiący najpierw po holendersku, potem po angielsku:

- Właśnie jak się dowiedzieliśmy policja M1 zmobilizowała swe siły i za jakąś dłuższą chwilę zaatakują od strony wschodniej. Jesteśmy przygotowani, niech tylko podskoczą!!! - wykrzyczał, po czym znów poleciała pokręcona muzyka a la PATAPOE.

- Zachodniacy! Nawet teraz nie puszczą człowiekowi nic zagrzewającego do walki - stwierdził Mixer i tu też miał rację.

- Jakiś „neroniasty” artysta wykorzystuje zdarzenie i myśli, że ma swoje 5 minut - dodałem.

- Bo pewnie ma.

- No tak, tylko, czemu kosztem naszych uszu. Ha! Ha! - tak podśmiewaliśmy się też trochę dla dodania sobie otuchy i by rozłuznić napięcie i atmosferę oczekiwania. Walka miała się zacząć niebawem.

„Jak będzie przebiegała? Czy uda nam się wygrać? Czy nie ryzykuję za bardzo? Przecież mogą mnie zaaresztować i deportować. Może dowiedzą się o moim zakazie w Niemczech?”. Przeżegnawszy się, myślałem dalej: „Wszystko będzie dobrze, jest nas siła. Mam nadzieję, że tym razem policja będzie musiała odejść z kwitkiem. Tyle tak mocnych barykad postawionych, tylu ludzi do obrony zjednoczonych. Musimy ich w końcu przegonić! Ktoś musi stawiać opór złu. Kto jak nie my i kto jak nie Ty?!”.

Myślę, iż każdy sobie myślał na swój sposób podobnie. Każdy miał nadzieję na nasz sukces. Jakby nie to, nie byłoby tu nas wszystkich, nie byłoby już od kilku miesięcy prowadzonej kampanii obronnej (masa plakatów, ulotek informacji, demonstracje, dużo pozytywnych artykułów w prasie, dużo pozytywnych wypowiedzi w radio i telewizji). Zresztą samo istnienie i działalność Kalenderpanden było jedną dobrych wizytówek skłotingu w tym mieście. Był dostrzegany i doceniany poprzez ludzi również z zewnątrz, „spoza naszego środowiska”, jako interesujące miejsce kulturalne z różnorodną, ciekawą ofertą.

Wielu ludzi, którzy poznali to miejsce, od razu stawali się jego przyjaciółmi, co tłumaczy tak wielu ludzi zaangażowanych w jego obronę. Gdyby nie nasza nadzieja, nie byłoby też tego zapału, tych barykad i tylu walczących i ryzykujących coś na swój sposób (a może sytuację) ludzi.

Skłotów, praw do wszystkiego, co Ci się należy, społecznej sprawiedliwości, wolności itd. nikt Ci nie da za darmo. Nie zrobią tego ani politycy, ani policja, ani kolejne wybory. To wszystko musimy wywalczyć sobie sami. Jeśli Ty, Ja nie będziemy walczyć o to razem, jeśli sobie tych rzeczy nie wywalczymy, nigdy nie będziemy ich mieli. I nie najważniejsze jest, czy poniesiemy zwycięstwo. Najważniejsze to się nie poddawać w walce o lepszy świat, może wtedy nie będzie on coraz gorszy. Naszym zwycięstwem zawsze będzie to, że mówimy stanowcze NIE w obliczu draństwa (istota ruchu punk?).

Z różnymi emocjami wyczekiwania, wypatrując z dali bastardów pakowaliśmy przed walką do kieszeni ostatnią prowizoryczną amunicję. Najlepsze były śruby: ciężkie, małe i mocne. W większości pochodziły ze splądrowanego barakowozu, gdzie była ich masa. Cały czas płyty chodnikowe były rozbijane specjalnym młotem na mniejsze kawałki, gotowe do rzucania.

Bastardów wypatrywaliśmy od strony budowy, bo stamtąd wydawała nam się najlogiczniejsza droga by ominąć, chociaż część barykad. W pewnym momencie lotem błyskawicy po ludziach rozeszła się wieść, iż gliniarze zamierzają już za chwilę nadjechać i uderzyć prosto od strony największych barykad.

- Skąd mamy aż tak dokładne informacje? - zapytałem zaciekawiony Mixera, gdy biegiem przemieszczaliśmy się na początkowe barykady.

- Widziałeś tego gościa z „zachodniej elity”, który stał przy wejściu, z krótkofalówką?

- No, widziałem.

- Mają oni ustawione, CB radio na kanale policyjnym i podsłuchują rozkazy i wszystko, o czym gadają bastardy.

- Sprytne.

- Na dodatek, też rozszyfrowują i tłumaczą specjalne kody, które używa policja w myśli, że nikt ich nie zna.

- To się nazywa organizacja! Myślisz, że przepowiednia się sprawdzi?

- Policja nie wie, iż ich podsłuchujemy, więc myślę, że się sprawdzi.

- Ja uważam, że to głupie ze strony bękartów, że atakują z tej strony. Ja myślę, że to może być jakiś podstęp. Pewnie tak naprawdę zaatakują od innej strony, a po tej stronie może tylko odwracać uwagę - ja wytłumaczyłem sobie to w ten sposób.

Jednak przepowiednie spełniły się szybko. Bastardy nadjechały w sile kilkunastu opancerzonych suk wypełnionych świniami, oraz jednej armatki wodnej. My, przygotowani na ich atak, staliśmy z kamieniami, tuż za drugą z barykad, które były murami zbudowanymi z płyt chodnikowych. Na samym początku dało się słyszeć głos głównego bastarda:

- Macie ostatnią szansę na opuszczenie tego terenu. Jeśli nie zrobicie tego, będziemy zmuszeni użyć wobec was siły. Jeśli się rozejdziecie, nikt nie zostanie aresztowany.

- Nigdy nie ufaj policji!!! - zaraz ktoś krzyknął w odpowiedzi.

Tymczasem ja z Mixerem przeprowadziliśmy szybką rozmowę. Zaczął Mixer:

- Ty, czemu my stoimy dopiero za drugą barykadą?

- No właśnie chyba nie po to budowaliśmy tą pierwszą, by teraz tak ją oddać!

- Co to, to nie! - rzekł z przekonaniem Mixer i naszą reakcją na policyjne kłamstwa było przeskoczenie przed drugi z murów, w obronie pierwszego, od razu rzucając w stronę wysypujących się z suk gliniarzy. Zaraz za nami przeskoczyli też inni, także rzucając w stronę najeźdźców i wspólnie krzycząc ile sił w gardłach: „NO JUSTICE NO PEACE JUST FUCK THE POLICE” (bez sprawiedliwości nie będzie pokoju, pierdolić policję - popularne hasło na wielu demonstracjach). Przez moment wraz z Mixerem mogliśmy się poczuć jako bohaterowie tej chwili, bo to dzięki nam pierwsza barykada nie została łatwo zdobyta i długo potem jej broniliśmy.

Holenderscy gliniarze jak zwykle zachowywali się dziwnie. Stanęli kordonem 15-20 metrów przed barykadą i robiąc uniki przed kamieniami niczym automaty czekali na rozkaz. Tak bez żadnej reakcji dawali się obrzucać jakieś 10-15 minut. Pewnie dowódca kazał im podnieść statystyki wśród rannych, a ci debile posłuchali. „Rozkaz to rozkaz” przecież.

Po tym czasie do akcji wkroczyła armatka wodna. Mimo początkowego popłochu szybko wzbudziła w nas również złość i wolę walki. Schowany za barykadą, tak jak inni rzucałem w nią i bastardów kamieniami. Szybko się zorientowaliśmy (może, co bardziej doświadczeni wiedzieli to już, przed), iż oprócz zmoczenia i ewentualnie przewrócenia to ta armatka nie jest w stanie nam nic zrobić. Niestety była tak opancerzona, że mimo naszych celnych rzutów, my także nie czyniliśmy jej żadnej szkody. Taki nieszkodzący nikomu pojedynek trwał zacięcie przez jakiś czas. Być może bastardy chciały nas w ten sposób przestraszyć a może zmęczyć. Na szczęście jednak chyba bardziej nas rozmieszyli oraz dodali nam wiary w siebie, a także w debilizm gliniarzy.

Ci chyba w końcu skapowali się, iż wystawiają się tylko na pośmiewisko, bo po jakiejś godzinie takiej walki, nagle zaczęli do nas strzelać gazem. To było straszne. W jednym momencie wszyscy zaczęli uciekać. Ja też. Gdy biegłem w kierunku Kalenderpanden uciekając przed chmurą gazu ulatniającą się z kanistra na przedzie barykad, nagle musiałem się przedrzeć przez chmurę wydostającą się z pocisków rzuconych na tyły barykad. Tym razem nie obyło się bez łez i kaszlu. „Wszędzie gaz, cały teren w gazie. Przecież te chuje nas poduszają!” - Myślałem uciekając jak najszybciej w kierunku, skłotu. Na szczęście powietrze za główną barykadą było już czyste, a gdzieś tam stały miski z wodą, gdzie można było wypłukać się z gazu. Zostały one wcześniej przygotowane na taką ewentualność, jaka właśnie zaistniała.

Byłem pewien, że po tym ataku bastardy podejda przynajmniej pod główną barykadę i zagazowując nas sukcesywnie, szybko osiągną zwycięstwo. „To już koniec!” – myślałem wkurwiony wypłakując oczy. Gdy jednak przejrzałem na nie, zobaczyłem, iż walka wciąż trwa. I to wcale nie na tyłach barykad, ale także w środku. Nasz opór uratowali Ci rozsądni i przezorni, którzy mieli ze sobą maski przeciwgazowe lub choćby pozaciągane na twarze bandany nawilżone białym octem winnym, które to również neutralizowały gaz. Oni to, uodpornieni wciąż walczyli, dzięki czemu tylko dwie pierwsze, te najmniejsze barykady zostały zdobyte. Jednak i oni mieli prawo się zmęczyć, więc było jasne, że sami mają niewielkie szanse na to, by bronić pozostałych barykad przez dłuższy czas. Na szczęście ktoś wpadł na pomysł, by podpalić główną największą barykadę, po to, by dym neutralizował działanie gazu. Pogoda nam sprzyjała. Jakby na zamówienie wiatr zwiwał cały dym prosto na gliniarzy. Wszyscy Ci, którzy przed momentem uciekali z placem, teraz z tym większym zapalem znosili i podrzucali wszystko, co nadawało się do spalania. Płonąca barykada, walka, opór i ta jedność, która panowała między nami – nigdy nie zapomnę tych chwil.

Na początku trochę wątpilem, że tym wielkim ogniskiem zlikwidujemy skutek gazu, ale rzeczywiście na nasze szczęście tak się stało. Dzięki temu bez placzu mogliśmy wrócić na pole walki. Ze zwiększoną energią rzucaliśmy w gliniarzy dalej, czym popadnie. Oni zaś nadal strzelali do nas gazem. Gdy udało im się trafić w pobliże walczących, szybko odrzucaliśmy kanistry z gazem z powrotem w bastardów. Trzeba było taki pocisk szybko złapać, bo po chwili zaczynał się kręcić i wypuszczać gaz. Wtedy było już za późno i wówczas lepiej, gdy nie stałeś zbyt blisko. Ciągłe lecący dym pomagał, ale jednak nie w takich wypadkach. Jeszcze nie raz się krztusił, jeszcze nie raz zakręciła się łza w oku sztucznie wywołana. Dzięki ciągle podsycanemu ogniovi nie było to już aż tak bardzo dokuczliwe jak na początku. Również nasze organizmy, uodporniły się bardziej na tą truciznę.

Walczyliśmy już z nimi długi czas. W trakcie na skłocie mieliśmy możliwość napicia się kawy lub herbaty, odpoczęcia przez chwilkę oraz nabrania sił i energii do dalszej walki.

Gdy zaczęło świtać gliniarze przestali nas gazować. Choć było to mało realne wszyscy chyba mieliśmy cichą nadzieję, że sobie odpuszczą, że to już koniec, że WYGRALIŚMY. Tak bardzo chcieliśmy, by było to prawdą, że nawet zaczęliśmy w to wierzyć.

- To tryumf anarchii nad tyranią! - cieszył się Mixer.

- Tak bym chciał by było to prawdą - odpowiedziałem z nadzieją w głosie, lecz nagle ktoś zaczął krzyczeć:

- Przegrupowują się na tą stronę!

- Tam ich widać - wołał jakiś Hiszpan pokazując palcem na teren między budynkami, za budową.

- Chyba któryś z nich w końcu zaczął myśleć strategicznie - zaśmiał się Inżynier.

- Myślisz, że będą rozpieprzać ten płot oraz ten cały plac budowy? - zapytałem.

- A, co im tam.

- Pewnie zobaczyli, że nie ma tu barykad, więc im łatwiej pójdzie.

- Oni nie muszą się liczyć z tą budową.

- Nie muszą się liczyć z niczym.

- Tu to długo się nie obronimy. Rozwalą płot i już nas mają - mówił z obawą Josel. Wszyscy zdawali sobie sprawę, iż jeśli zaatakują od tej strony, to nie mamy szans. Widmo przegranej patrzyło nam w oczy, daleko, po drugiej stronie budowy.

Nagle gościu, który podsłuchiwał komunikaty podał przez wszędzie słyszane radio:

- To podstęp! Właśnie chcą wjechać wielkim spychaczem od strony głównej. Tamci „emejowcy” po drugiej stronie budowy stoją tam tylko po to by odwrócić naszą uwagę od punktu ataku!

Po tym obwieszczeniu prawie wszyscy ruszyli, czym prędzej z powrotem bronić barykad na głównej ulicy.

ZJEDNOCZONA EUROPA – FASZYSTOWSKA GRANICA

To musiało się zdarzyć. Pieprzony pech. Może, dlatego, że 13 (ha!ha!). Już wracaliśmy na słot, tak by Janka mogła wyjść na czas do pracy. Zdaje się, że jak zwykle ostatnio nie poszło nam najlepiej. Jarek chyba gorzej się nadaje do sępienia niż ja. Z tym po prostu trzeba się urodzić. Tym razem, chyba na szczęście nie zaczął się nawet pytać, bo na stacji do przedziału weszło dwóch gliniarzy i jedna gliniarka. Gdy ich zobaczyłem gitara wydała bezwładne, kończące dźwięki, bo ręce mi opadły. Od razu skierowali się do nas.

- Weź Paprykę na smycz - po cichu, szybko powiedziałem do Jarka, lecz tylko zdążyłem wymówić te słowa, a już byli koło nas. Stanęli koło nas, tak byśmy nie mogli uciekać. Jeden z nich, nazwijmy go „Wąsacz”, oznajmił nam po holendersku, że nie można grać w metrze. Drugi, nazwijmy go „Staruchem”, też z przejęciem zaczął nam coś gadać w tym języku. Jednak Wąsacz po naszym głupim wzroku, chyba się skapował, że niewiele rozumiemy, bo w końcu zapytał:

- Czy mówicie po holendersku?

- Nie.

- Po angielsku?

- Tak.

- Skąd jesteście?

- Z Polski - może to złe, że odpowiedziałem zgodnie z prawdą, lecz nie przyszło mi do głowy kłamać w tym momencie. Po tych słowach poczułem, jakby już zapadł na nas wyrok i być może taka była prawda, bo Staruch tylko to usłyszawszy, poleciał do drzwi i niczym konduktor dał znać maszyniście, żeby ruszał. Pierwszy raz spotkałem się z takim zachowaniem, więc całkiem możliwe, że trafiliśmy na tego maszynistę, który tak bardzo nienawidzi i cham nasłał na nas gliniarzy. Nie wiem tego na pewno, pewnie nigdy się nie dowiem, jak było naprawdę.

Tymczasem Wąsacz pytał nas dalej:

- Macie bilety? - Jarek swój podał, a ja jak na złość nie mogłem mego znaleźć w tym moim kieszeniowym bałaganie. Podczas gdy gorączkowo przeszukiwałem kieszeń po kieszeni, gliniarka (którą nazwijmy „Małpą”, bo nic lepszego pasować nie będzie) dopatrzyła się:

- Ten bilet jest stary.

- Jak to stary? - udałem zdziwionego.

- Na tym bilecie można jeździć tylko godzinę.

- My tego nie wiedzieliśmy. Przepraszamy - cały czas próbowałem załagodzić sytuację, lecz cały czas nadaremnie, bo bastardi owi byli całkowicie bezduszni.

Wszystko od początku do końca wykonywali jak automaty, jakby ich zaprogramowano, co zresztą może mało miało się z prawdą.

- Nie ma „przepraszam” – odparł Staruch – gracie i sępicie w metrze, psa macie nie na smycz, a do tego nie macie biletów. Wysiadamy! – oznajmił. Jakaś starsza pani próbowała nas bronić:

- Przecież oni nic takiego złego nie zrobili. Byście lepiej poszukali prawdziwych przestępców.

- Zapłacą karę i będą wolni – odpowiedział jej Staruch, po czym wyprowadzili nas na prawie pusty peron „Overamstel”. Jednak nie od kary zaczęli, lecz...

- Pokażcie paszporty – zażądali.

- Nie mamy – odpowiedzieliśmy. Ja jeszcze dla pewności zapytałem Jarka po polsku.

- Nie masz paszportu?

- Nie mam – odpowiedział.

- Jak to nie macie? – zapytali oburzeni.

- A gdzie są?

- Zostawiliśmy w domu.

- Jak to? Nie wiecie, że trzeba nosić paszporty przy sobie? Dlaczego ich nie macie? – pytali jeden przez drugą.

- Boimy się, że je zgubimy, więc nie wozimy ich ze sobą.

- A macie w ogóle 29 euro? – zapytał Wąsacz, a ja po polsku zapytałem Jarka:

- Jarek, jak myślisz mamy 29 euro?

- Gdzie tam. Jak 15 będzie to dobrze.

- Ja mam może 7, czyli nie mamy – zaś bastardom oznajmiłem po angielsku:

- Mamy ponad 20 – z ci jakby tylko na to czekali.

- W takim razie ja aresztuję Ciebie – powiedział Wąsacz do Jarka, po czym wyciągnęli kajdanki, by nas w je zakuć.

- Są niepotrzebne, – nie jesteśmy przestępcami, przecież wam nie uciekniemy. – próbowałem tłumaczyć, na co usłyszałem tylko:

- Dawaj ręce! Nie gadaj! – małpa wzięła ode mnie gitarę i kazała mi zapiąć Paprykę na smycz, czego z tego wszystkiego zapomnieliśmy o tym i jeszcze nie zdążyliśmy tego zrobić.

PROJEKCJA NA FABRYCE

Siedzieliśmy w parterowcu i wraz z Pietią i Stolarzem opowiadaliśmy sobie, co tam nowego wydarzyło się w naszym życiu, jakie nastąpiły zmiany, a co rusz wspominaliśmy też i stare czasy.

Nagle wpada Kocek i mówi do Stolarza, nie do mnie:

- Ty, Stolarz? Może puścilibyśmy ten film u nas w barze, na tym większym telewizorze i więcej osób przyjdzie. Co ty na to??

- Jak uważasz.

- To zrobmy to u nas – stwierdził, a my z Janką staliśmy i patrzyliśmy na to w szoku. Gdy tylko zdążył wyjść nie wytrzymaliśmy i... parsknęliśmy nie powstrzymywanym śmiechem.

- No właśnie. A co ja mam do tego? Griks, przecież ty, to robisz – skomentował Stolarz.

- Lepiej już by zrobił, jakby poprosił kogoś by ze mną pogadał. Ha, ha!

Zaraz potem wróciliśmy z powrotem do naszych rozmów. Gadaliśmy tak na różne tematy, aż do około 18.00. Wtedy to poszliśmy, już niosąc wideo do biurowca, robić projekcję. Specjalnie chciałem się spóźnić te 2 minutki, by nie być tam pierwszym. Norbi, który siedł z nami, otworzył nam drzwi, co Janka widząc to pierwszy raz skomentowała:

- O, zamek wstawiliście.

- Jak się wprowadziłem, to już był.

Gdy weszliśmy do baru okazało się jednak, że jesteśmy tam pierwsi. Nie czekał telewizor, nie było posprzątane, było ciemno i nie było nikogo.

- To może ja ich zawołam - zaproponował Norbi.

- No, i powiedz, żeby ktoś przyniósł telewizor.

- Dobra - rzekł i ruszył na górę.

Po krótkiej chwili z ciemności wyjawiał się Koczek, który zaczął przestawiać beczki, a raczej rozrzucać je z hukiem. Zaraz za nim pojawił się Portas, który niósł telewizor. Nagle drzwi spadły z hałasem i tak już pozostały na podłodze, przez każdego deptane. Najważniejsze, że przestały w końcu torować drogę, a to, że deptane mogły się w końcu połamać nie było już dla nikogo istotne, może za wyjątkiem tego nieobecnego, do którego te drzwi należały. Nie minęła chwila, a telewizor zaczął już grać, wideo zresztą też. Wciąż jednak brakowało kabla, dzięki, któremu i to i to mogło ze sobą współpracować, uzupełniając się wzajemnie. Razem z Portasem próbowaliśmy w jakikolwiek sposób sobie poradzić za pomocą tego przewodu, który mieliśmy. Nie dało rady. Niestety. Koniec końców, to ja musiałem iść na parterowiec po drugi telewizor. Tym razem poszedł ze mną Portas. Nieco już wkurwiony, przyniosłem ten ciężar, a nikt nawet nie zrobił miejsca, by go móc postawić.

Gdy go podłączyliśmy ukazała nam się czerwień i biel. Przy najlepszym ustawieniu ledwo, co pokazywał, co było nagrane. Do tego - co jakiś czas obraz trzeba było poprawiać ciężkim do znalezienia w świetle telewizora przyciskiem. O tym jednak dowiedziałem się w trakcie. Na szczęście mimo wszystko ktoś z punkowej publiczności oznajmił:

- Dobrze jest! - więc już starałem się już niczym nie przejmować i zacząłem opowiadać historie związane z obrazami przedstawianymi przez taśmę.

Zaczęło się od ewikcji, potem demonstracyjne skłotowanie wielkiej szkoły, a następnie bohatera obrona na KALENDERPANDEN. Punkci oglądały z zainteresowaniem, po holendersku leciał tekst, a ja po polsku trochę opowiadałem, co się dzieje na ekranie. Tłumaczyłem też dużo o ogólnej sytuacji skłoterskiej w Holandii. Z początku myślałem, że w pewnym momencie się zatnę i nie będę miał już o czym opowiadać. Nawet wymyśliłem sobie wyjście z tej sytuacji:

„Może teraz Janka o tym opowie...” (pewnie nie byłaby zadowolona z takiego wkopania). Na szczęście jednak kaseta - cały czas podsuwała mi pomysły i bez żadnej wcześniejszej próby udało mi się zainteresować do końca prawie wszystkich. Nawet przy pierwszej kasecie, która była ciekawsza, wszyscy bez szmeru wysłuchali mego opowiadania. Gadając jak katarynka udało mi się w końcu dotrzeć do końca nagrań i mych opowieści, które zakończyłem pytając:

- To może ktoś z Was chciałby mnie o coś zapytać?

- Czy długo trzeba czekać na obywatelstwo, jeśli się z kimś ochajtnie - zapytał Seweryn.

- Nie wiem, może z pół roku?

- No, co Ty. Przecież Marcin ile już czeka?

- Czy jest możliwość przegrania tej pierwszej kasety? – zapytał Wesel.

- Możliwość zawsze jest, jeśli macie do załatwienia drugie wideo.

- Nancy, Ty masz wideo?

- Nie, nie mam.

- No to nie ma możliwości.

- Możliwość zawsze jest. Jeśli dasz mi kasetę, to przegram Ci ją, ale dopiero w Amsterdamie. OK?

- Nie, tak to nie, ale ja mam jeszcze drugie pytanie: Czy znasz może Czarnego z Piły?

- Nie wiem, Stary, ja nie mam pamięci do imion i ksyw, a w Amsterdamie do tego żyje tyle Polaków.

- Tak? Naprawdę dużo?

- Polaków wszędzie dużo.

- To też prawda.

Podczas tej krótkiej rozmowy sala opustoszała i nikt, oprócz Norbiego nie zapytał:

- Pomóc Ci to zanieść z powrotem?

- No pewnie. Dzięki!

- To ja zaraz przyjdę, tylko pójść się ubrać.

- Dobra – i tak zostaliśmy sami.

- Niezły klimat – stwierdziłem.

- Weź przestań. Szkoda gadać – potwierdziła Janka – nawet Ci nie podziękowali, choć Ty im dziękowałeś za uwagę.

- Takie życie, co poradzisz? – zakończyłem chowając w reklamówkę wideo. Gdy już mieliśmy się zbierać przyszedł Norbi i jako jedyny nam pomógł. Nie wiem, może mi się wydaje, ale za każdym razem, kiedy odwiedzam Fabrykę, czuję nieuzasadnioną niechęć od ludzi, którzy nie zdążyli mnie jeszcze poznać. Plotki widocznie działają i to bardzo skutecznie. Nic dziwnego, skoro puszczane są z takiego źródła, które potrafiło skłócić nawet kochających się ludzi.

Zanieśliśmy z powrotem telewizor i wideo. W parterowcu czekała na nas rodzinna atmosfera oraz dopiero, co zrobiona obiadokolacja. Kopytka zrobione przez Stolarza były wyśmienite.

Właśnie zacząłem się zastanawiać czy dobrze zrobiłem, przenosząc miejsce projekcji na biurowiec, do baru, jednak Karol rozwał me wątpliwości pytając:

- Wiesz, czemu nie chcieliśmy żeby było u nas?

- No, czemu?

- Bo oni jak zwykle po sobie by nie posprzątali – wyjaśnił Karol, a ja po raz kolejny zauważyłem podział, jaki istniał między biurowcem i parterowcem. Tak sobie trochę pogadał miły, Grajek pogrywał spokojnie na gitarze, a na koniec wraz z Pienią uraczyli mnie i innych skunem. Potem musieliśmy już wracać do Siedlec.

Mimo wszystko i projekcje i cały pobyt na Fabryce uważam za dobry i nie żałujemy, że tam pojechalśmy. Nie wiem, po co napisałem ten rozdział. Może, dlatego, że koniecznie chciałem napisać coś o Fabryce, może by wpisać się jako obiektywny obserwator do wspaniałej kroniki Stolarza, może po to by opisać nowy rozdział w moim życiu – projekcje, a może, by po prostu przełamać mój zastój w pisaniu, tworząc coś na bieżąco. Nie wiem. W każdym razie jest wiele ciekawszych rzeczy do opisywania, nawet tych o Fabryce – Cia!!!

PSY SKŁOTERSKIE NAJMAŁDZIEJSZE – PSY SKŁOTERSKIE NAJWIERNIEJSZE

Wracając z Warszawy postanowiłem odwiedzić Mrozy. Był 1 listopad – święto zmarłych, więc wypadło bym udać się na cmentarz. Jednak głównym powodem było to, że długo nie będę widział rodziny i chciałem się ze wszystkimi pożegnać przed moim upragnionym wyjazdem do Amsterdamu. Z dworca poszedłem prosto do domu babci. Po drodze spotkałem Kowala – kumpla z młodości. Jak zwykle wyglądał jak żul, zarośnięty i zaniedbany. Na twarzy wyskoczyła mu chyba łuszczyca, lecz wątpię, aby się tym przejmował. Minął mnie i nawet nie poznał.

– Cześć Kowal – krzyknąłem za nim. Odwrócił się zdziwiony i bardziej się przyjrzawszy krzyknął:

– O! Griks. Nie poznałem Cię w tych okularach. Będziesz bogaty. Cześć.

– Cześć. Wiele osób mnie nie poznaje przez te okulary. Co u Ciebie słychać?

– Aaaa... Po staremu. A u Ciebie jak kapitał?

– Jaki kapitał?

– No kapitał. Jak stoisz? – tłumaczył ręką wykonując gest oznaczający forszę.

– Cienko, jak wszyscy.

– Nie masz nawet zeta pożyczyć?

– Nie mam – skłamałem.

– Naprawdę? Weź zobacz w kieszeniach.

– Nie mam, naprawdę.

– A papierosy masz?

– Nie mam. Sam bym zapalił.

– Dobra ja muszę lecieć. Trzymaj się.

– Ty też odpowiedziałem i rozeszliśmy się w swoją stronę. Zwykle mam zwyczaj nie dawać żułom pieniędzy, ale Kowalowi może bym dał, jednak, jeśli dawnego kumpla, po latach niewidzenia się interesują go tylko moje pieniądze, to jest to dla mnie bardzo przykre.

Idąc z dworca w Siedlcach, zobaczywszy budkę telefoniczną, ponownie spróbowałem zadzwonić na policję. Tym razem, po dłuższej chwili, jakiś zaspany, męski głos odebrał:

– Pogotowie policji. Słucham?

– Dobry wieczór. Ja dzwonię, bo zginął mi dzisiaj pies i chcę się dowiedzieć czy nie wiadomo u was coś o nim?

– Nie, nic nie wiadomo. A gdzie on zginął? – pytał gliniarz niemiłym głosem.

– W Mrozach. Zostawiłem ją na podwórku zamkniętym furtką i poszedłem na cmentarz, a ona wyskoczyła przez siatkę i całkiem możliwe, że pojechała gdzieś pociągiem.

– A miała kaganiec?

– Nie przecież uciekła z podwórka.

– To jak nie miała kagańca, to jeszcze kolegium pan zapłaci – po tych słowach kurwica zaczęła mnie strzelać.

– Ale pies uciekł, to jak mu miałem założyć kaganiec?

– Nas to nie interesuje, to pan odpowiada za swojego psa, a pies nie powinien biegać bez kagańca.

- Dobrze. To ja zapłacę te kolegium jak będzie trzeba, ale ja zadzwoniłem po to, by się dowiedzieć, gdzie mam go szukać, gdzie mam zadzwonić, jeśli mój pies został przez kogoś złapany jako bezdomny.

- Ale my się tym nie zajmujemy.

- I nawet jak kogoś ugryzie, to nadal się tym nie zajmujecie?

- Jeśli kogoś ugryzie, to będzie trzeba psa uśpić albo zastrzelić.

- Ale ten pies jest szczepiony.

- To, co. Pies powinien być na smyczy, w kagańcu, a nie latać bezpańsko.

- To ja tu dzwonię z nadzieją, że policja jakoś mi pomoże, a wy zamiast pomóc jeszcze mi grozicie mi jakimiś kolegiami i zastrzeleniem psa.

- Było go pilnować.

- Czyli jest tak jak zawsze myślałem: Więcej szkodzicie niż pomagacie i jeśli ktokolwiek zrobi krzywdę memu psu, to ja go pomścę - co powiedziałwszy odłożyłem słuchawkę.

- Co za kurwy?! - skomentowałem całą rozmowę Jance.

- Co? Jeszcze Cię postraszyli kolegium?

- Nooo, to jakiś absurd, paradoks.

- No. Człowiek dzwoni z nadzieją, że mu pomogą, a oni go jeszcze straszą. Oto polska policja.

- Tak jak myślałem. Więcej wyrządzają zła niż pomagają.

- Moim zdaniem, to chyba oni powinni mieć numery do jakichś schronisk, do Animalsu itp.

- A, co myślisz, że nie mają. Przecież w Warszawie jak na trzydziestce Motywa pies ugryzł gliniarza, to zaraz hycle przyjechali.

- Może skurwiel ma zły humor, bo nie dałeś mu spać zamiast Ci pomóc, to cię postraszył - skomentowała zachowanie bastardów Janka.

- Jakby mi zastrzelili Paprykę, to naprawdę bym im podpałił ich ten komisariat - stwierdziłem poważnie.

To zdarzenie utwierdziło nas w przekonaniu, że policja bardzo kiepsko spełnia swoją powinność w stosunku do zwykłych biednych ludzi. Co innego, gdybym przedstawił się jako dyrektor większej, znanej firmy. Tak to już jest, że cały ten system służy raczej tym bogatym, bardzo często tylko po to, by uchronić ich przed biednymi, by mogli dalej robić bezkarnie swe interesy, w imieniu prawa, które stworzyli. Stworzyli sobie prawo, by w jego imieniu i za jego pomocą mogli nas skutecznie wykorzystywać i okradać z tego, co nam jeszcze zostało. Niestety tak już oni poukładali ten świat i zrobili to dla siebie, nie dla nas.

Nie znalazłszy Papryki, smutni wróciliśmy do domu. Zmęczyło nas to całe szukanie oraz ta cała tragiczna sytuacja. Mimo to, od razu się wziąłem za robienie plakatu. Zacząłem od przeszukiwania zdjęć, by wybrać te, które najbardziej odpowiadałyby do zrobienia plakatu. Janka w tym czasie pościeliła łóżko. Gdy to zrobiła przytuliła mnie i powiedziała:

- Griksiu, jesteś już zmęczony. Zrobisz ten plakat jutro, gdy będziesz wypoczęty. Na pewno wtedy wyjdzie Ci lepiej. Po drugie i tak xero nie jest czynne od samego ranka i tak będziesz musiał czekać.

- Mam nadzieję, że Mama mi trochę odbije. Masz rację. Będzie lepiej jak zrobię to jutro. Jak dobrze mieć tą ukochaną, kochającą osobę, którą, gdy trzeba mnie podnieść na duchu, z którą dzieli się smutki i żale, z którą razem idzie się przez życie. Samemu

byłoby o wiele trudniej. Całkiem możliwe, że gdyby Janki nie było przy mnie o wiele gorzej bym to wszystko znosił, a być może całkiem bym się załamał.

Długo nie mogłem zasnąć. Myśli o całej tej sytuacji, o tym, co się dzieje z Papryką nie dawały mi spokoju. Wymyśliłem kilka chwytających za serce tekstów, które nadawałyby się na plakat. Jak to zwykle z takimi „złotymi myślami z łóżka” robię, od razu je zapisałem, bo pewnie jutro bym już o nich nie pamiętał. Nea obudziła nas około dziewiętej. Od razu, bez śniadania, wziąłem się za robienie plakatu. Wybrałem kilka zdjęć, które potem musiałem zniszczyć, by wyciąć z nich Paprykę. Obok fotek wstawiłem teksty, które wczoraj wymyśliłem, pod spodem napisałem telefon cioci Marylki i mojej mamy i plakat był gotowy.

Gdy tylko skończyłem, zadzwoniłem do Mamy i poprosiłem:

- Mamo, to, co poodbijasz mi te plakaty?

- No, poodbijam, a ile byś ich chciał?

- Jak najwięcej?

- A ile?

- Jak najwięcej.

- To znaczy ile? Dwadzieścia wystarczy?

- Co?! Mamo, na dwadzieścia plakatów to nas jeszcze stać i możemy sobie sami je poodbijać.

- To ile ty chcesz ich rozklejać.

- Dzisiaj, co najmniej 50, a to nie pomoże, to każdego następnego dnia następne 50.

- Gdzie ty je będziesz rozklejał?

- Na początku w Siedlcach i Mrozach, a potem w każdej wiosce na tej trasie

- No dobra postaram się odbić jak najwięcej, jeśli dyrektor mnie nie pogoni.

- Dzięki. To przyniosę oryginał.

- Nie. Nic mi nie przynos. Zaraz sama po niego przyjdę.

- Dobra, to na razie.

- No cześć - skończyliśmy rozmowę, a mama za 5 minut odebrała oryginał. Zjadłem podgrzane przez Jancię śniadanie i gdzieś tam w starej gazecie wyszukałem numer, pod którym można było zostawić treść ogłoszenia o zaginięciu psa, a oni wydrukują to za darmo. Ogłoszenia te przyjmowali od 11.00, więc liczyłem czas, jaki mi pozostał. Miałem zamiar zapytać się też tam o numery schronisk, pogotowia zwierzęcego i wszystkich innych organizacji, które mogły mi pomóc odnaleźć Paprykę. Zostało mi około 10 minut, gdy zadzwonił telefon.

- Griks? - usłyszałem głos Hogaty.

- Tak, to ja.

- Ej, gdzie ty jesteś?

- Jak to, gdzie? W domu przecież.

- A, dlaczego Papryka jest u nas? - jej ton brzmiał opierdalająco, lecz nie przejąłem się tym wcale, ponieważ ma radość wówczas nie miała granic.

- Tak?! Naprawdę jest u Was. To niemożliwe - nie wierzyłem własnym uszom. Wcześniej rozpatrywałem możliwość, że pojedzie do Warszawy, lecz szanse, że trafi z powrotem na skłot, lub, iż znajdę ją w tym wielkim mieście uważałem za żadne. Hogata jednak potwierdziła.

- Tak, jest tutaj. Tylko nie mogę tego zrozumieć, dlaczego ona jest tutaj, a ty jesteś w Siedlcach? - na co opisałem jej w kilku zdaniach, co się stało.

- Tak? Pierdolisz. Przebyła całą drogę, aż 80 kilometrów? Ale mądra psina.

- No. Teraz to zacznę wierzyć w książkę „ O psie, który jeździł koleją”. Nic jej nie jest. Kiedy do was dotarła?

- Ma trochę rozwaloną łapę. Już jej przemywaliśmy. Nic poważnego. Wiesz, my nie wiemy, kiedy ona przyszła, bo wszyscyśmy spali. Stolarz rano, z godzinę temu wracał z skądś tam i Paprykę wystraszoną zobaczył pod skłonem. Była tak zestresowana, że nie poznała Stolarza i zaczęła na niego czekać. Jak ją wpuścił, to cała drżała. W ogóle przez tą ranę cała była zakrwawiona i żeśmy myśleli, że jakieś zło was spotkało. Od razu, gdy skołowaliśmy kartę, zadzwoniliśmy do ciebie. Wiesz jak wszyscy żeśmy martwili się o ciebie?

- Dobra, to ja pierwszym pociągiem przyjadę do was. Weź Hogata jakąś puszkę jej kup. Ja ci później pieniądze oddam.

- No, ja już jej dałam trochę. W ogóle, to jest już z nią dużo lepiej. Nie denerwuj się tak bardzo.

- Dobra. To do zobaczenia za parę godzin. Będę jak najszybciej.

- Jak nie będzie nas na skłocie to jesteśmy na myjce.

- OK. Cześć.

- Cześć - i zakończyliśmy rozmowę, po czy zacząłem skakać i śpiewać z radości. Janka, która przysłuchiwała się całej rozmowie też się cieszyła i nie mogła w to uwierzyć. Zamiast do gazety, zadzwoniłem do mamy, by nie odbijała już więcej plakatów, oraz do cioci Maryli w Mrozach, by zakończyli poszukiwania. Każdy był w szoku jak opowiadałem, w jaki sposób się znalazła i wcale się im nie dziwię, bo sam też włożyłbym tą historię pomiędzy „niewiarygodnie zmyślane” gdyby nie wydarzyła się naprawdę. Dziękowałem Bogu, że mam tak mądrego psa.

Na skłocie już ich nie było, więc zajechałem na myjkę. Papryka, gdy tylko mnie zobaczyła, rzuciła się tak na mnie z radości, że nie miała szans mnie nie wywrócić. Skakała po mnie i lizała mnie po twarzy nie dając mi wstać, a jej ogon tak mocno machał, iż jeszcze trochę, to by pofrunęła dzięki niemu. Ja zaś nie zważałem, że całego mnie pobrudzi. Cieszyłem się z nią i próbowałem przytulić, mówiąc do niej: „Jaka Ty mądra jesteś Papryka? Gdzie ty byłaś?? Poszłaś mnie szukać? Już nigdy cię nie zostawię!!”. Z boku słyszałem głosy podziwu wśród myjkarzy:

- Ale radość.

- Ale się cieszą.

- Jeszcze nie widziałem by pies się tak cieszył.

Gdy po dłuższym czasie pierwsza radość minęła, Papryka dała mi wstać. Cały byłem brudny, lecz kto by tam myślał teraz o tym. Podszedł do nas Radzio i powiedział:

- Gratuluje Ci psa Griks. Myślałem, że Rudi zrobił wyczyn, ale Papryka pobila go o głowę.

- Rudi też zrobił wyczyn. Po prostu: „Psy skłoterskie najmądrzejsze. Psy skłoterskie najwierniejsze”.

- Święta prawda - potwierdziła Hogata.

Na całe szczęście przygoda zakończyła się dobrze. Papryka miała tylko lekko ranioną stopę i zgubioną kolczatkę. Co się z nią działo, w jaki sposób dotarła na Fabrykę, dlaczego straciła kolczatkę, jak się zraniła? Tego wszystkiego możemy się domyślać. Ja myślę, że ranę na stopie mogła sobie zrobić przeskakując przez siatkę. Do Warszawy dotarła pociągiem, bo nie wiem, czy tak szybko przebiegłaby 70 kilometrów nieznaną drogą. W Warszawie myślę, że poruszała się na piechotę albo tramwajem. Spacerkiem szedłem tą trasą może z raz w życiu, może dwa. Tramwajami

to nie wiem, czy by się połapała z numerami i przesiadkami. Rudi się kiedyś połapał, więc ona może też. Ktoś pewnie złapał już ją na smycz lub na łańcuch, bo wołała zostawić kółczatkę niż być na uwięzi. Są to jednak wszystko niepewne domysły i prawdę zna tylko Papryka (chyba, że opowiedziała już ją innym czworonogom). My niestety bardzo słabo znamy psi język i być może ich to trochę wkurza, że jesteśmy tacy łepi.

Ta historia i historia Rudiego potwierdza fakt, że zwierzęta są bardzo często mądrzejsze niż myślimy, a z ich wierności i miłości, często my ludzie moglibyśmy się wiele nauczyć.

Nadziei na znalezienie Papryki dodawał mi skrawek papieru doczepiony do jej obroży. Był na nim napisany jej adres, telefon, imię oraz kilka słów trafiających do serc. Gdy Papryka się gubiła zawsze mogłem mieć nadzieję, że trafi na uczciwego znalazcę, mającego serce. Jeśli trafiłaby do schroniska, oni od razu by się ze mną skontaktowali. Nie musiałyby się wtedy tam męczyć do tego czasu aż sam się dowiem gdzie ona jest. Wy wszyscy, którzy macie psy, jeśli naprawdę je kochacie, napiszcie dane psa na kartce. Jeśli Was stać na nagrodę to napiszcie też obietnicę o niej. Napiszcie też krótko uczucie i przywiązanie, które Was łączy. I proszę nie zwlekajcie z tym, bo tak naprawdę nie znacie dnia i godziny, ani nawet sytuacji, w jakiej Wasz pies może się zgubić. Nawet bardzo mądry pies, który nigdy nie zginął, nawet w najmniej spodziewanej sytuacji może się zgubić. Po prostu nieszczęścia chodzą po wszystkich i każdemu mogą się przydarzyć. Dlatego lepiej dmuchać na gorące.

MIŁOŚĆ

...Ja wiem, że ideałów nie ma i że w pierwszej fazie miłości nie widzi się wad partnera. Słowa te piszę, gdy jestem z Rabią już ponad pół roku spędzając razem większą część dnia. To, że nie jesteśmy sobą znudzeni, a nasza miłość jest wciąż pełna pasji świadczy o pełni uczucia, jakimi siebie nawzajem darzymy. Jeśli by tu mówić o ideałach to Rabia jest bardzo blisko. Pasujemy do siebie chyba pod każdym względem. Czasem mówimy sobie, że to Bóg nam siebie dał, by przez naszą miłość uczynić nas jeszcze mocniejszymi w naszej walce ze złem, jeszcze bardziej aktywnymi w szerzeniu Dobra.

Oboje przeszliśmy dużo złego w życiu, oboje wynieśliśmy z tego wszystkiego życiową lekcję, w oboju z nas dokonała się ogromna przemiana na lepsze, oboje w głębi serca pragnęliśmy kogoś bliskiego, kto tak jak my za cel swego życia miałby zmienianie świata na lepsze. Jak to Rabia mówi, jesteśmy na tej ziemi nie tylko po to, by jeść, spać i konsumować. Bóg wybrał nas po coś więcej niż te przyziemne życie. Całe nasze życie nie dzieje się bez przyczyny, wszystko ma swój wyznaczony cel. Oboje uważamy, że Bóg uczynił nam wspaniały prezent dając nam siebie nawzajem. „Darem od Boga” – tak siebie nawzajem nazywamy w chwilach uniesienia. Mamy też świadomość by nie zmarnować tego daru musimy pozostać dobrzy i aktywni, musimy pielęgnować zawsze naszą miłość do siebie, do Boga, do ludzi. Bo miłość to moc przeogromna, bardzo potrzebna w dzisiejszych czasach pieniądza i nienawiści. Dlatego jest bardzo ważne, by utrzymywać ją w nieskazitelnej czystości, nie dać jej skazić przez złe czyny, niepotrzebne kłótnie, zazdrość, chciwość i inne grzechy. Tak wielu ludzi wypowiada słowo „kocham” nie mając świadomości jak wiele to oznacza. Nie zapominajmy, że miłość to dawanie drugiej osobie szczęścia, to kochanie jej bardziej niż siebie samego, to zapominanie o swoim ego, to oddanie swego życia

ukochanej osobie. To właśnie przez Miłość możemy budować niebo w tym nowoczesnym piekle. Taka jest chyba nasza misja życiowa – moja i Rabii, by poprzez piękny przykład jak Miłość powinna wyglądać, jak kwitnąć, jak emanować, możemy uczyć innych tego pięknego uczucia. Właśnie poprzez nasze życie możemy uczyć innych Miłości. Właśnie poprzez nasze życie możemy pokazywać, że tylko przez staranie się być dobrym możemy osiągnąć prawdziwe szczęście i prawdziwą radość życia, której nie zastąpi nam żadna heroina, telewizor, crack, samochód, alkohol, władza czy inne śmiecie, którymi ludzie zwykli się faszerać by wypełnić tę pustkę w sobie po braku Miłości.

Po tym wszystkim, co przeszedłem w życiu, co się wycierpiałem, czego życie mnie nauczyło, Bóg nie mógł mi dać lepszego prezentu niż Rabię – moją ukochaną Health (=zdrowie) aktywistkę. Dar od Boga, Moje Szczęście, bogini Miłości, Wspaniała Ukochana, Miłość mego życia, Me niebo, najpiękniejsza, Mój cud to jedne z wielu pięknych przydomków, jakimi darzę ją niemal każdego dnia. Nawet te słowa nie wyrażają ani jednej setnej tego, co do niej czuję. To wspaniale jest mieć u boku kogoś, kto tak jak Ty uważa, że trzeba uczynić tak wiele jak tylko możemy. By uczynić ten świat, choć odrobinę lepszym. Przez to nasze wspaniałe połączenie, nasza moc i siła jest dużo większa. Razem możemy dużo więcej. Poprzez tak wielką moc, jaką jest Miłość, nasze wartości nie tylko się dodają do siebie. Nawet mnożą to za mało powiedziane. One się potęgują i tylko patrzeć jak będziemy przenosić góry. Zmieniać świat na lepsze, to jest właśnie to, o czym oboje marzymy i w czym się wspieramy.

Rabia jest także wspaniałym aniołem, jeśli chodzi o mą rodzinę i dom. To wspaniale, że ukochała Neę jak własną córkę i troszczy się o nasze zdrowie i dobro jak o swoje. To bardzo ważne dla mnie samotnego do niedawna ojca zapewnić córce najlepsze warunki, jakie tylko mogę. Nea jest częścią mnie, moją rodzicielską miłością i to ja w połowie z jej mamą Janką jestem odpowiedzialny za jej życie. Nie ma nic ważniejszego w wychowaniu dziecka niż atmosfera Miłości, którą oboje z Rabią (dzięki Bogu i jej) staramy się dać Nei. Bardzo się cieszę też, że Nea zaakceptowała swą drugą „przyrodną mamę” i mam nadzieję że kocha ją z równą wzajemnością. To bardzo ważne w życiu dziecka by dać mu to, co najlepsze. To nie jej wina przecież, że jej rodzice się rozeszli. Myślę, że Nea jest dużo bardziej szczęśliwa, gdy jej tato pogrążony jest w szczęściu, a nie w nieskończonym żalu. Dla dobra dziecka jest ważne wychowywać go w duchu Miłości, dać mu przykład kochającej rodziny by kiedyś, w przyszłości umiało założyć swoją i jeśli coś nie jest idealne jest ważne by robić wszystko by uczynić to jak najbliższe ideału. (Niczym anarchiści walczący krok po kroku o raj na ziemi).

To wspaniale też, że strony Rabii, że odświeżyła powiedzenie mojego Taty: „Na jedzeniu i zdrowiu nie powinniśmy oszczędzać”. To ona uświadomiła mnie, że kupowanie tylko niektórych biologicznych produktów dla Ney nie wystarczy, że jeśli naprawdę ją kocham nie mogę więcej jej faszerać tą tanią chemią serwowaną w supermarketach. Uświadomiła mnie, że powolne zatrutowanie ludzi niezdrową żywnością jest kolejnym ze sposobów, w jaki system próbuje uniezależnić, w jaki próbuje osłabić nasze ciała i zatruć nasze umysły byśmy grzecznie pozostali w swych domach, posłusznie wykonywali pracę i nie walczyli o lepszy świat, o Dobro dla wszystkich.

Komu może zależeć by wybielać cukier, łądować w to energię fabryk po to tylko, by uczynić go białym, czystym i niezdrowym. Dlaczego mimo tego, że włożono w niego o tyle więcej pracy by go wybielić, to nadal jest wiele tańszy niż ten nie

oczyszczony, lecz zdrowszy. Komu zależy by ludzie biedniejsi się truli? Dlaczego rządy dotują tak bardzo przemysł mięsny mimo, że ani ze zdrowego, ani ekologicznego ani też ekonomicznego punktu widzenia się to nie opłaca? (O moralnym, etycznym względzie by uratować głodujących ludzi od śmierci i niewinne zwierzęta od rzeźni wspominam w Makulatureczce nr 10).

W zdrowym ciele zdrowy duch – to właśnie, czego boją się i czego starają się uniknąć nowoczesne rządy.

Dlatego, by uczynić nasz bunt jeszcze bardziej mocnym i świadomym zdecydowaliśmy się odciąć od tych wszystkich „E- numerów” na jedzeniu, od tej chemii i wszystkiego, co nas zatrzuwa.

Kochana Rabia uświadomiła mnie też, by być dobrym uzdrowicielem trzeba przede wszystkim samemu być zdrowym. Tylko wtedy, nie będąc hipokrytą, możemy przekazywać tą zdrową czystą energię, za którą stoi leczenie. Chodzi też o to, by wszystko co się robi, starać się robić jak najlepiej. Jeśli chcemy jak najlepiej żyć, należy się wyzbycь wszystkiego, co nas zatrzuwa: chemicznego jedzenia, mięsa, alkoholu, używek, narkotyków i wszystkiego co złe. Nie potrzebujemy wrzucać w siebie całego zła, które za tym stoi. MY WALCZYMY O DOBRO.

Dlatego też jako równie ważny krok do osiągnięcia szczęścia uważamy wyzbycie się w jak największym stopniu również wszystkich złych emocji. Gdy się złościmy na kogoś, ten gniew, to zło zawsze do nas wraca i powoli zjada nas od środka, uzależnia nas od siebie, buduje w nas frustrację, która narasta, nie daje nam spać aż w końcu rządzi naszym życiem. Gdy jesteśmy zli na kogoś nie nauczymy go w ten sposób niczego dobrego. Wszystko do nas wraca. Dajemy, co otrzymujemy. Dostajemy, co daliśmy – odwieczne prawa kosmosu. Dlatego Jezus tak bardzo chciał nauczyć nas miłości, sztuki wybaczenia. Nawet, gdy się buntujemy, gdy walczymy o nasze prawa miłujmy naszych wrogów, bo jeśli będziemy ich nienawidzić to, czego mają się od nas nauczyć – nienawiści? Tym, co złe czynią należy jedynie współczuć, że nie mają w sobie tej miłości, tego Dobra, że to przez tą pustkę, przez ten brak miłości starają się jakoś tę lukę wypełnić. To dlatego tak często piją, ćpają, gromadzą pieniądze i dobra materialne, bo wydaje im się, że tym kupią szczęście. Niestety złudni to bożkowie, bo nic za nimi nie stoi, a tylko zło, frustracja, cierpienie, łzy, obojętność na głód w trzecim świecie, śmierć zwierząt, deportacje i cała wieża Babilonu. Czy o to w życiu chodzi by hołdować kultowi gromadzenia pieniędzy? My już wiemy, że te rzeczy dadzą nam tylko frustrację.

Prawdziwe szczęście tkwi w Miłości i czynieniu Dobra. Współczucie dla tych, co tego nie rozumieją, bo każdy z nich ma sumienie, które mogą oszukiwać, lecz wiercie mi przyjdzie chwila, gdy spojrzą na swoje życie i wówczas zapłaczą i gorzko pożałują swej chciwości, obojętności i zła, jakie wyrządzili.

To miłość, do Rabii i jej do mnie pozwala nam osiągnąć tą świadomość, przelewać ją na papier, mieć energię na czynienie Dobra i osiągnąć prawdziwe szczęście.

Bo to szczęście zamiast do pracy, jechać razem na akcje w obronie lasów, dobra dzieci, ludzi, w proteście przeciwko armiom tego świata. To szczęście nic sobie nie robi z tego, że nas zaaresztują, bo i tak mamy coś, co oni nie mają. MAMY MIŁOŚĆ, KTÓRA PRZEZWYCIĘŻY WSZYSTKO, NIENAWIŚĆ JEST OSTATECZNYM UPADKIEM (jeszcze raz, WŁOCHATY).

A gdy nas zamkniecie, nie będziemy płakać ani się złościć. Areszt to wspinały czas na medytację, na modlitwę nawet o wybaczenie dla naszych

oprawców, bo nie wiedzą, co czynią. Największe zło, jakie wyrządzają czynią sobie samym.

Mogą zamknąć nasze ciała, ale nie zamkną naszego ducha, naszej Miłości, gdy jesteśmy prawdziwie wyzwoleni.

Ciąg dalszy nastąpi...

Spis treści:

KRÓTKI WSTĘPIK	2
WSTĘP FILOZOFICZNY	3
POCZĄTEK KAPELI ZBUNTOWANI	6
PAPRYKA RATUJE MI ŻYCIE	8
POCZĄTKI SPOKOCHATY	9
FOOD NOT BOMBS.....	10
POŻAR W SPOKOCHACIE.....	14
NARODZINY SZCZENIAKÓW.....	15
STRASZNA PODRÓŻ.....	23
PIERWSZE SKŁOTOWANIE W AMSTERDAMIE	26
HOLENDERSKI PAŃSTWOWY RASIZM.....	29
OBRONA KALENDERPANDEN.....	33
ZJEDNOCZONA EUROPA – FASZYSTOWSKA GRANICA	39
PROJEKCJA NA FABRYCE	40
PSY SKŁOTERSKIE NAJMĄDRZEJSZE – PSY SKŁOTERSKIE NAJWIERNIEJSZE	43
MIŁOŚĆ	47

Wolność, równość, miłość, (=) anarchia, przyjaźń, rodzina, squatting, prawa zwierząt, prawa ludzi, ekologia, jedzenie zamiast bomb, pokój, tolerancja, przygoda, prawda, wegetarianizm jako sposób na nakarmienie głodnych w trzecim świecie, ocalenie zwierząt oraz siebie, duchowość, wiara w Boga, DOBRO, (=) SZCZĘŚCIE, rozwój, nadzieja, wytrwałość...

...Tymi i nie tylko tymi wartościami i ideami pragnę się podzielić z Wami. Ta książka jest jednym ze sposobów na osiągnięcie lepszego świata dla Was, dla naszych dzieci, dla Nas, Dla wszystkich. Do Was należy następny krok. Powodzenia !!!



RED RAT

<http://red-rat.w.interia.pl>
<http://www.red-rat.republika.pl>